

1. Zbrodnie w Szymankowie 1 września 1939 roku – pierwszego dnia agresji niemieckiej na Polskę

[Z relacji Alfonsa Lessnaua [w:] Kazimierz Ickiewicz, *Zbrodnie w Szymankowie*, Pelplin, Wydawnictwo „Bernardinum”, 2016]

Dnia 1 września 1939 roku zbudził mnie ze snu warkot samolotów. Dochodziła 4.00. [...] Żona przygotowała śniadanie, a ja kończąc ubieranie, zauważyłem przez okno, jak jeden z Heimwery pod karabinem gotowym do strzału prowadzi Romana Grubbę. Zaraz zorientowałem się, że jest źle, lecz nie było na to rady. Wszelka ucieczka była niemożliwa, ponieważ cały teren stacji był obstawiony przez SA i Heimwerę. Nagle ktoś mocno zakolałał do drzwi mieszkania. [...] Po krótkiej chwili wezwali nas SA-mani do drzwi wejściowych. Gdyśmy się zbliżali, padły strzały z pistoletów trzymanyh w ukryciu w kieszeniach wiatrówek. Pierwszy padł trupem jeden z nieznanym mi osobiście pracowników kolejowych. Reszta rozbiegła się po pokojach Odcinka Drogowego [...]. Wszyscy, jedni z utraty przytomności, drudzy – jak ja – nie tracąc jej, pokładli się lub poupadali na podłogę. SA-mani gdzieś się podziali; pozostał jeden, który kolejno dobijał żywych. Rozpoczął od nieznanego mi współtowarzysza, którego dobił trzema strzałami. Następnie dłuższy czas pastwił się nad jęczącym [Arturem] Okroyem, dobił go dopiero dziewiątym strzałem. Później podszedł do [Izydora] Żelewskiego i do mnie. Do ciężko rannego Żelewskiego oddał trzy strzały, a mnie uznał za już nieżyjącego. Prawdopodobnie ten sam, wyszedłszy korytarzem, włożył przez okno do mego mieszkania i tam trzema strzałami zabił żonę będącą w ciąży [Elżbietę Lessnau z d. Torlińską, która w chwili śmierci miała 22 lata]. Była godzina piąta rano [...].

[Zbrodnie w Szymankowie pod Tczewem została dokonana na 13 polskich kolejarzach i 5 celnikach, a także żonie i siostrze dwóch spośród nich. Kierował nią Hermann Gröening – starszy wachmistrz żandarmerii Wolnego Miasta Gdańska. Wniosek polskiego sądu wystosowany po wojnie do władz brytyjskiej strefy okupacyjnej Niemiec został odrzucony i Gröening uniknął odpowiedzialności. W 2006 roku Prezydent RP Lech Kaczyński odznaczył pośmiertnie ofiary mordu Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski].



2. Rozstrzelani jeńcy

[Z protokołu przesłuchania świadka kapitana Franciszka Bardzika z 24 IX 1969 r., (AIPN Ra, Ds. 15/67), cyt. za: Sebastian Piątkowski, *Walka i masowy mord na żołnierzach Wojska Polskiego pod Dąbrową koło Ciepiewa we wrześniu 1939 roku* [w:] *Z dziejów walk o niepodległość*, red. Marek Gałęzowski i inni, t. 3, Warszawa, IPN, 2015]

Jeden z oficerów wydał rozkaz ustawienia się w czwórki w ten sposób, że szeregowcy szli na początku kolumny, a oficerowie w ostatniej czwórce. Kolumnę ustawiono na szosie w kierunku miasteczka Lipska. Za kolumną podążał duży wóz pancerny z karabinem maszynowym, [s]kierowanym w kierunku kolumny maszerującej. W ostatniej czwórce prócz mnie maszerował mjr dr [Józef] Cesarz – lekarz pułkowy, o nieznanym mi nazwisku podporucznik oraz sierżant. Kazano nam trzymać się pod ręce i w ten sposób maszerowaliśmy. Eskortujący nas żołnierze szli na lewo od kolumny w ilości około dziesięciu żołnierzy. Kolumna mogła liczyć około 180–200 ludzi. Po przemaszerowaniu około 3 km nagle z karabinu maszynowego umieszczonego na wozie pancernym wypuszczono bez żadnego powodu salwę, która trafiła sześciu do ośmiu żołnierzom maszerującej grupy, szczególnie maszerujących w ostatnich czwórkach. Z mojej czwórki trafieni zostali mjr lekarz Cesarz oraz oficer o nieznanym mi nazwisku. Rannych posadziliśmy nad rowem na skraju szosy, a sami zmuszeni zostaliśmy do maszerowania dalej przez konwojentów. Po chwili słyszeliśmy dodatkowe strzały, którymi prawdopodobnie dobijano rannych jeńców.

[Opisana zbrodnia została dokonana przez Niemców na żołnierzach 7. Dywizji Piechoty Wojska Polskiego, wziętych do niewoli 8 września 1939 roku po walce w lesie Dąbrowa pod Ciepiewem].



3. Czarny poniedziałek Warszawy

[Z dziennika Wacława Lipińskiego, *Dziennik. Wrześniowa obrona Warszawy 1939 r.*, wstęp, komentarz i przypisy Jerzy M. Kłoczowski, Warszawa, Instytut Wydawniczy Pax, 1989.]

Była godzina 8 rano, kiedy obudził mnie gwałtowny wstrząs powietrza. Gdzieś w pobliżu wybuchła bomba. [...] Co się dzieje? Nalot na śródmieście i to największy z dotychczasowych – odpowiadają. Za chwilę znów pęd powietrza, szyby wylatują, pył sypie się ze ścian. [...]

Wychodzę na dziedziniec. Pusto, żandarmi w bramie przyklejeni do ścian, w oczach przerażenie. Nad nami już nie warkot, lecz wycie pikujących samolotów i eksplozja za eksplozją. Opel pokryty szarą warstwą pyłu, w gmachu MSW nie ma już ani jednej szyby. Siadam do wozu, wjeżdżam w bramę i na ulicy chcę skręcić w prawo, by normalną drogą przez Nowy Świat i Aleje dostać się na Szucha. Stop. W prawo cała ulica zasypana gruzem. Okazuje się, że prawe skrzydło budynku, tuż przy Świętokrzyskiej, dostało przed chwilą potężną bombę. Skręcam wobec tego w lewo, by jechać przez Traugutta. Wprost przede mną straszliwy płomień i olbrzymi słup czarnego dymu. To wyrznięta bomba gdzieś koło [Hotelu] Europejskiego lub Trębackiej, jadę mimo to, skręcam w Traugutta już pełną gruzu, ale jakoś się przedzieram. Pusto, świsty bomb i nieustanne, jedna po drugiej eksplozje. [...] Kamienice na placu Napoleona porozdzierane i pokrwawione granatami, tu i ówdzie już od góry dymią czarnymi słupami [...]. Świsty bomb nie ustają, wybuchy różną co chwila wokół. Niebo zasłane dymem, co chwila ryk pikującego samolotu.

[...] Na Marszałkowskiej przebiegają jacyś żołnierze, jacyś cywile, co chwila z przeraźliwym trzaskiem pękają granaty. Biją dalej na nieszczęsne miasto, na palące się ulice, na oszalałą z przerażenia ludność. W międzyczasie bowiem, z godziny na godzinę wzrasta ilość pożarów. Nie ma rady, nikt nie ratuje, więc ogień przenosi się z miejsca na miejsce, z domu do domu, niektóre, całe już ulice, jak Traugutta, Wierzbowa, Świętokrzyska, Nowy Świat stoją w ogniu, palą się dziesiątki i setki domów [...].

Nie można przejść, bo nie tylko kamienice palą się z dwóch stron, ale rozpalone ściany zaczynają zwałać się na ulicę. Obraz jest nie do zniesienia, nie wytrzymują go nawet moje nerwy, a mam je ciągle spokojne. Tu jednak zostałem dobity. Wśród rozżarzonych ogniem ulic biegają ludzie. Krzyczą coś przeraźliwie, w rękach jakieś tobołki, walizki, rozpaczliwy szloch małych, bezbronnych dzieci. Ci ludzie uciekają z kamienicy do kamienicy, z domu do domu, stąd ich wyrzuca przenoszący się ogień,



zamykają przejścia walące się domy, biją w tych oślepiłych, oszalałych z przerażenia ludzi serie nowe, nowe pociski. [...]

[Wacław Lipiński (1896–1949) był historykiem, żołnierzem I Brygady Legionów Polskich, podpułkownikiem Wojska Polskiego, we wrześniu 1939 roku szefem propagandy Dowództwa Obrony Warszawy. W czasie okupacji niemieckiej – jeden z przywódców konspiracji piłsudczykowskiej, następnie wybitny działacz powojennej konspiracji niepodległościowej, współautor memoriału do Rady Bezpieczeństwa ONZ w sprawie łamania praw obywatelskich przez władze komunistyczne w Polsce. Zginął w więzieniu we Wronkach. O skutkach nalotu przeprowadzonego przez niemieckie lotnictwo na broniącą się stolicę Polski pisał m.in. Władysław Bartoszewski: „Po całonocnym ostrzale artyleryjskim miasta, poczynszy od godziny 7.00, aż do zmroku trwa bombardowanie lotnicze o niespotykanym dotychczas natężeniu. Paręset samolotów nadlatujących systematycznie falami zrzuca ładunki bomb burzących i zapalających na centralne dzielnice Warszawy. Szpitale oznaczone znakami Czerwonego Krzyża niszczone są planowo na równi z gmachami publicznymi, świątyniami i blokami mieszkalnymi. Pożary trawią: Szpital św. Ducha przy ul. Elektoralfnej (z których poważnej części nie udaje się uratować), pawilony szpitala Dzieciątka Jezus, gmachy Ministerstwa Skarbu na pl. Bankowym [...]. Akcja ratunkowa jest szczególnie utrudniona z powodu braku wody. Lotnicy ostrzeliwują masowo ludność z broni pokładowej. Ilość równoczesnych pożarów w mieście oceniania jest na dwieście, przy czym niektóre z nich obejmują całe ulice. [...] Życie miasta jest całkowicie sparaliżowane” – Władysław Bartoszewski, *1859 dni Warszawy*, Kraków 1984].



4. Zbrodnie Selbstschutzu na polskich sąsiadach

[Fragment Zarządzenia Heinricha Himmlera Reichsfürera SS i Szefa Niemieckiej Policji w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Rzeszy (do wyższych dowódców SS i Policji w Krakowie, Łodzi, Wrocławiu i Poznaniu), dotyczącego wytycznych w sprawie organizowania Selbstschutzu w Polsce, 7 października 1939 r., cyt. za: Jan Skórzyński, *Selbstschutz – V kolumna*, „Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce” 1958, t. 10]

Selbstschutz jest organizacją policji. Zorganizowanie Selbstschutzu jest zadaniem sztabów SS powołanych przy okręgach wojskowych w porozumieniu z dowódcami Policji Porządkowej. Dowódcy sztabów SS w okręgach wojskowych podlegają bezpośrednio Wyższemu Dowódcowi SS i Policji. Użycie Selbstschutzu zarządzają dowódcy Policji Porządkowej. [...]

Selbstschutz składa się z volksdeutschów zdolnych do noszenia broni w wieku od 17 lat do 45. Ci tylko zostaną przyjęci, którzy po zbadaniu okażą się tego godni. [...]

Najszlachetniejszym zadaniem Selbstschutzu jest podniesienie i wzmocnienie u volksdeutschów ufności w siebie oraz męstwa.

Co się tyczy zadań policyjnych, to kompetentne władze policyjne mogą powierzyć Selbstschutz przekazywanie do gestapo zbiegłych więźniów, karnych więźniów, a ponadto strzeżenie i zabezpieczenie ważniejszych zakładów oraz obiektów. Do większych akcji policyjnych, rewizji itp. Selbstschutz może być użyty również poza obrębem swojej miejscowości. Podczas akcji policyjnych Selbstschutz podlega właściwym dowódcom policji porządkowej.



[Fragment przemówienia Ludolfa Jakoba von Alvenslebena, szefa II Inspektoratu SS-Standartenführera, wygłoszonego podczas apelu członków Selbstschutzu w Toruniu w dniu 15 października 1939 r., „Thorner Freiheit” 16 X 1939; cyt. za: Sylwia Grochowina [w:] *Zapomniani kaci Hitlera. Volksdeutscher Selbstschutz w okupowanej Polsce 1939–1940. Wybrane zagadnienia*, Bydgoszcz–Gdańsk, IPN, 2016]

Nigdy nie zapomnimy krzywd, które zostały nam wyrządzone na tej prastarej niemieckiej ziemi. Takie czyny mógł popełnić tylko ten, kto należy do niższej rasy. [...] Jeżeli wy, moi ludzie z Selbstschutzu, jesteście mężczyznami, to żadnemu Polakowi, w tym niemieckim mieście nie przyjdzie więcej na myśl, żeby mówić po polsku. Teraz jesteście tutaj narodem panów. Miękkością i słabością nigdy jeszcze niczego nie zbudowano. Chodzi o to, żeby znowu zakotwiczyć tutaj niemieckość i dlatego oczekuję od was – jak również oczekuje tego od Was Adolf Hitler – żebyście byli wprawdzie zdyscyplinowani, ale twardzi jak stal Kruppa. [...] Musicie być bezlitośni i usunąć wszystko, co nie jest niemieckie i co mogłoby zakłócać postępy w procesie odbudowy. Musicie również być świadomi, że [...] to polska inteligencja podszczuwała do tej wojny. To właśnie wśród niej znajdują się duchowi podżegacze do tej wojny.



[OKŚZpNP, S 23/71, Fragment protokołu przesłuchania świadka Antoniny Lepper przez sędziego Sądu Grodzkiego w Nakle, 15 lutego 1947 r., k. 80–82]

Przez okres okupacji niemieckiej zamieszkiwałam na Paterku powiatu wyrzyskiego w odległości mniej więcej 3 km od miasta Nakła. W Paterku posiadam gospodarstwo rolne w pobliżu kopalni żwiru. Widziałam na własne oczy, jak Selbstschutz z Nakła przywoził partiami Polaków do tej kopalni żwiru, gdzie byli oni mordowani i zakopywani. Dnia 4 października 1939 r. około godziny 9.00 rano widziałam, jak przypędzono 12 mężczyzn [...]. Nie przypuszczałam jeszcze wówczas, że prowadzą tych Polaków na zabicie, dlatego w jakiś czas udałam się w tym kierunku, przypuszczając, że kopią oni żwir. Wracając z kopalni Niemiec z Paterka, Eryk Fellmin, ostrzegł mnie jednak, żebym tam nie podchodziła, gdyż zaprowadzeni do kopalni Polacy będą zabici. Wycofałam się wtedy do swego domu i mniej więcej po godzinie po odprowadzeniu Polaków do kopalni usłyszałam szereg strzałów. Gdy Niemcy, którzy byli z Nakła odjechali taksówką, a ci którzy byli z Paterka poszli do domu, udałam się do kopalni w miejscu odległym od mojego domu ok. 400 metrów, może nawet bliżej, widziałam na piasku 8 kałuż krwi, kawałki kości czaszki i mózgu oraz świeżo zasypaną mogiłę. [...] Byłam przy ekshumacji w lipcu 1945 r. i wiem, że mogiła ta została ekshumowana. W mogile było 8 osób, a 4 osoby w innej mogile, byli to ci, którzy zakopywali wpierw zastrzelonych. Ta druga mogiła również została odkopana w czasie ekshumacji.

Następnie dnia 19 października 1939 r. około godziny 21 znowu zostało przypędzone 12 osób, kto ich przypędził do kopalni, tego nie wiem. [...] Wiem, że zostali wówczas zamordowani kierownicy różnych szkół powiatu wyrzyskiego, gdyż obecne przy ekshumacji żony rozpoznawały swych mężów. Dnia 24 października około godziny 7 rano Niemcy: Jaknowski, Lindberg i Bloch oraz czwarty nieznany, przypędzili do kopalni 16 mężczyzn. [...] Wszyscy zostali zastrzeleni w okopie, pozostałym z wojny 1939 r. Mogiła ta również została ekshumowana w lipcu 1945 r.

Dnia 1 listopada 1939 r. zostało zabitych w tejże kopalni 21 osób, w tym 3 kobiety. Wszyscy zabici pochodzili z Paterka. Wśród zabitych znajdował się i mój mąż, Wincenty Lepper. [...] Mordowali wówczas Niemcy z Paterka. [...]



[OKŚZpNP w Bydgoszczy, S 13/67, Fragment odpisu protokołu przesłuchania Władysława Suchomskiego przez sędziego – kierownika Sądu Grodzkiego w Świeciu, 24 stycznia 1948 r., k. 103–105]

23 października 1939 r. zostałem aresztowany i odstawiony do Luszkówka. [...] Po dwudniowym pobycie w Luszkówku odstawiony zostałem wraz z innymi do Zakładu Psychiatrycznego w Świeciu. Po dwudniowym pobycie w Zakładzie Psychiatrycznym byłem wraz z innymi Polakami przeznaczony do transportu. [...] Samochód jechał w kierunku Grupy pod Grudziądzem szosą, a w Grupie za torem kolejowym skręcił w kierunku do strzelnicy w Grupie, gdzie w samej strzelnicy się zatrzymał. Eskortujący Niemcy zeszli z samochodu i kazali schodzić po 4 osoby z samochodu, reszta natomiast musiała czekać na ich kolejkę. Tymże 4 kazano lepsze rzeczy ściągać z siebie, a następnie prowadzono ich do rowu [...], a następnie padały strzały. Zaraz potem wołano po 4 następne osoby, z którymi postępowano tak samo. Gdy w samochodzie pozostało jakieś 8 ludzi, między innymi ja się znajdowałem, nadjechał samochodem osobowym Grunov Georg i przystanął przy tym ciężarowym samochodzie. Ponieważ ja go znałem, przeto odezwałem się do niego, a gdy on mnie poznał, rozkazał eskortującym Niemcom mnie pozostawić, a sam udał się do miejsca egzekucji. Widziałem, jak dostąpił majora niemieckiego, który prowadził egzekucję i razem z nim się przyglądał w wykonaniu reszty egzekucji. [...]

Stwierdzam z całą stanowczością, że Georg Grunov, który należał do Selbstschutzu i nosił na ręce opaskę z napisem „Selbstschutz”, a który znał dobrze tutejszych ludzi, był tą osobą, która decydowała o życiu i śmierci tutejszych obywateli. Zdaniem moim, on jest współwinowajcą licznych ofiar Polaków, którzy zostali pomordowani w grobach masowych w Grupie.

Liczba ofiar w Grupie dosięga kilka tysięcy [...].



[Fragment wspomnień mieszkańca wsi Łobdowo z 1939 r., przesłanych na konkurs Instytutu Prasy „Czytelnik” pt. „Opis mojej wsi” w 1948 r., cyt. za: Tomasz S. Ceran, *In namen des Fuhrers... Selbstschutz Westpreussen i zbrodnia w Łopatkach w 1939*, Bydgoszcz–Gdańsk, IPN, 2014]

Miejscowi Niemcy, których 8 rodzin zamieszkiwało tę wieś (w sąsiadujących wioskach było ich znacznie więcej) zaczęli sprawować rządy. Z opaskami Selbstschutzu na rękawach wydali godzinę policyjną i rozpoczęli swe urzędowanie odbieraniem aparatów radiowych, telefonicznych, aut, motocykli i rowerów. I zaraz w pierwszych dniach swego urzędowania, przypomniawszy sobie sprzed paru lat jakieś małe osobiste urazy z Polakami, aresztują niektórych na parę dni, znęcając się biciem i głodem. Areszt ten znajdował się w gminnej mleczarni, skąd nocą słychać było już nieludzkie krzyki, a ryki zwierzęce bitych ludzi. [...] Jeden obywatel po ośmiodniowej kuracji wrócił chory śmiertelnie, strach okropny nie opuszczał go, bał się własnej żony, bał się księdza, który przyszedł z Najświętszym Sakramentem. Całe ciało zielone było od pobicia. Aresztowano nauczycieli z całego powiatu, osadzając ich w powiatowym mieście Wąbrzeźnie, w dawnej fabryce Pe-Pe-Ge. Żona miejscowego kierownika szkoły, chcąc odwiedzić męża i spróbować podać mu coś do jedzenia, została pobita przez wartujących Selbstschutz. W PePeGówce morzono głodem do nieprzytomności, bito, aż ciało odchodziło od kości. Kto miał szczęście z tego piekła się wydostać, opowiadał, że po paru dniach pobytu ojciec syna, a syn ojca nie poznawał.

[Selbstschutz – (Volksdeutscher Selbstschutz) – „Samoobrona Niemców Etnicznych”, Niemiecka Samoobrona Narodowa – organizacja paramilitarna, składająca się obywateli polskich pochodzenia niemieckiego, utworzona z rozkazu Heinricha Himmlera na ziemiach polskich wcielonych do III Rzeszy oraz w Generalnym Gubernatorstwie. Rekrutowana pośród volksdeutsche w wieku od 17 do 45 roku życia. Stanowiła część niemieckiego aparatu terroru (samodzielny organ egzekucyjny). Celem Selbstschutzu było „odpolszczenie” (Entpolonisierung) ziem zachodnich z „elementu antyniemieckiego”. Odpowiedzialna za masowe zbrodnie na Polakach oraz grabież polskiego mienia w latach 1939–1940. Szacuje się, że Selbstschutz od września do grudnia 1939 r. wymordował od 30 do 50 tys. osób. Po likwidacji organizacji znaczna część jej członków weszła w skład SS lub Policji Porządkowej].



5. Pierwsze zbrodnie w Wielkopolsce

[Z protokołu przesłuchania Lothara Beutela, szefa Einsatzgruppe IV, 20 VII 1965 r. [w:] Jochen Böhrer, Klaus Michael Mallmann, Jürgen Matthäus, *Einsatzgruppen w Polsce*, Warszawa, Wydawnictwo Bellona, 2009]

Około sierpnia 1939 odbyła się tutaj w Berlinie przy Prinz-Albrecht-Strasse narada, na którą byli zaproszeni między innymi przyszli dowódcy grup operacyjnych i na której m.in. Heydrich i Himmler ogłosili w zarysie zadania grup operacyjnych. Poinformowano nas wtedy, że naszym zadaniem jest w pierwszym rzędzie zabezpieczenie terenów na tyłach walczącego wojska, że mamy ponadto uniemożliwić i zwalczać ruch oporu i zapewnić bezpieczeństwo posuwających się za nami związków. Szczegóły zostały tylko o tyle ujawnione, że powiedziano nam, iż w ramach zwalczania ruchu oporu i grup oporu dozwolone jest wszystko, a więc zarówno zastrzelenie, jak i aresztowania. Decyzja, jakie kroki należy podjąć, należy do organów prowadzących akcję, a więc do podlegających sztabowi grupy operacyjnej komand. Nie mówiono wtedy o konkretnych krokach przeciwko polskiej inteligencji. Wskazano jednak na to, a było to jasne, że motoru ruchów oporu należy szukać w polskiej inteligencji. [...] Rozkazów na piśmie jako dowódca grupy operacyjnej w ogóle nie otrzymywałem. [...] Przypominam sobie, że we wrześniu zostałem raz wezwany do Berlina na naradę. Mogło to być 21.09.1939. Narada odbywała się pod przewodnictwem Heydricha. Poza mną wzięli w niej udział również pozostali dowódcy grup operacyjnych [...]. Przypominam sobie, że podczas tej narady między innymi rozważano, że przyszły opór w Polsce będzie mniejszy, jeśli możliwie mało członków polskiej inteligencji przeżyje. Nie przypominam sobie, żeby na tej naradzie zostały wydane wprost rozkazy zabijania inteligencji. Ogólnie mówiło się o „zabezpieczaniu”. Jednak cel tego zabezpieczania był przecież jasny, dzięki wspomnianej uwadze: im mniej żywych, tym mniejszy opór.

[Szef cywilnego zarządu przy zarządcy wojskowym Poznań [Arthur Greiser], Wytyczne dla budowy administracji w powiatach i miastach prowincji Poznań, 29 IX 1939 r., [w:] Jochen Böhrer, Klaus Michael Mallmann, Jürgen Matthäus, *Einsatzgruppen w Polsce*, Warszawa, Wydawnictwo Bellona, 2009]

- 1) Każdej miejscowości należy jak najszybciej nadać niemiecki charakter. Można to osiągnąć, po pierwsze, przez zawieszenie szyldów z niemieckimi nazwiskami.
- 2) Z zasady nie ma być na widoku pałających się Polaków. Należy ich brać



do prac publicznych i jeśli trzeba organizować w kolumny pracy przymusowej. Oprócz prac cywilnych kolumny robotnicze muszą być do dyspozycji przede wszystkim miejscowych zarządców wojskowych i batalionów budowlanych.

[...]

5) Jeszcze długo akcje zbrojne będą przeprowadzane w porozumieniu z władzami wojskowymi wspólne przez wojsko i policję. Od landratów i burmistrzów należy stale żądać, żeby Polacy obciążeni zarzutami w trakcie takich akcji poddawani byli publicznej egzekucji. Organy wojskowe, a ostatnio również policji i służby bezpieczeństwa, są w stanie – przy pomocy szybko powołanych sądów doraźnych – sprostać politycznym potrzebom moich przedstawicieli. Instrukcje otrzymane przez władze wojskowe, służbę bezpieczeństwa i policję porządkową umożliwiają dużo szybszą i znacznie mocniejszą interwencję w tej dziedzinie. Ponieważ rzeczywista pacyfikacja prowincji możliwa jest jedynie przy pomocy najsurowszych środków, czynię panów landratów i burmistrzów odpowiedzialnymi za zastosowanie tego rodzaju surowych środków.

6) Pieniądze i majątek polskich organizacji należy zabezpieczyć oraz użyć w interesie Niemiec i odbudowy. Absolutnie niezbędne dokładne dowody zajęcia i księgowość.

[...]

8) W najgłębszej tajemnicy należy sporządzić listy polskich przywódców oraz polskich inteligentów (proboszczowie, nauczyciele, ziemianie, kupcy i przemysłowcy) i drogą służbową z adnotacją „Tajemnica państwowa” przesłać pod moim osobistym adresem.



[Z protokołu przesłuchania Kurta G., członka Einsatzkommando 1/IV, 30 VII 1970 r. [w:] Jochen Böhrer, Klaus Michael Mallmann, Jürgen Matthäus, *Einsatzgruppen w Polsce*, Warszawa, Wydawnictwo Bellona, 2009]

W październiku 1939 brałem udział w obławie na przedstawicieli polskiej inteligencji. Mówiono ogólnie, że polska inteligencja ma zostać zlikwidowana, żeby Polacy zostali bez przywództwa. W tej obławie wzięli udział prawie wszyscy członkowie placówki wraz z kierowcami i urzędnikami; krótko mówiąc – każdy, kto był do dyspozycji. Zostały utworzone małe jednostki w sile 3–4 ludzi, którym biuro dało na kartkach nazwiska i adresy inteligentów wytypowanych do aresztowania. Aresztowano nauczycieli, profesorów, inżynierów, duchownych itd. Aresztantów wywieziono ciężarówkami do więzienia Dzielna. Przy tej okazji zlikwidowano seminarium duchowne, a seminarzystów także zawieziono do więzienia Dzielna. Również katoliccy księża byli podczas tej akcji zatrzymani. Jak słyszałem, aresztowani mieli być później przewiezieni do obozów koncentracyjnych. O rozstrzeliwaniu nie słyszałem. [...] Ale wiem, że inteligenci zostali później w obozach koncentracyjnych zamordowani, a wiem to dlatego, że jako pisarz otrzymywałem potem dziennie 25 do 40 dalekopisów z obozu koncentracyjnego Auschwitz, a także z innych kacetów, jak np. Mauthausen i Ravensbrück, w których donoszono, że profesor, lekarz, inżynier dyplomowany – krótko mówią należący do inteligencji Polak – zmarł. Podawano wielokrotnie te same przyczyny śmierci, jak atak serca, zaburzenia krążenia, zapalenie płuc itp. Było dla mnie jasne – jak i dla pozostałych kolegów w kancelarii – że ci inteligenci nie zmarli na podane choroby, lecz zostali zamordowani. Byliśmy zdania, że polska inteligencja miała zostać zlikwidowana. Moim zadaniem było na podstawie napisanych dalekopisów ująć zmarłych na liście i w kartotece.



[Z publikacji konspiracyjnej *Z pierwszej linii frontu*, Warszawa 1943, fragment rozdziału III „Gwarantujemy wam życie i mienie”. *Terror na zachodnich ziemiach polskich*]

Walka z polskim żywiołem rozgorzała już z pierwszym dniem okupacji. Terror objął wszystkie miasta i całe ziemie zachodnie. Najsrożej jednak dotknął Wielkopolskę. Wszędzie były aresztowania, wywożenia, internowania, przesłuchy, rozstrzeliwania, w Wielkopolsce jednak to wszystko odbyło się w skali największej.

Egzekucje miały miejsce przeważnie w miastach i zapowiadano je kilka godzin naprzód. Ludność zmuszano do uczestniczenia w tych ponurych widowiskach.

Oto mały wyjątek z nieskończonego długiego rejestru zbrodni niemieckich: Gostyń, 18 października 1939 r. O godz. 10 rano urządzili Niemcy publiczną egzekucję na rynku pod figurą Matki Boskiej. Ludność miasta, którą zawiadomiono o obowiązku stawienia się na rynku i asystowania przy kaźni niewinnych, zapełniła rynek. Byli wśród niej starzy i młodzi, kobiety i mężczyźni, znajomi i sąsiedzi, krewni, ojcowie, żony i dzieci skazanych. Ci, którym brakło siły, by stanąć w tłumie, zza okien patrzyli na rynek. Wśród nich w jednym pokoju żona i ośmioro dzieci jednego ze skazanych. Pluton egzekucyjny ustawił się w kilka szeregów. Skazanych, których stanowili aresztowani kilkanaście dni przed tym najpoważniejsi obywatele miasta, wprowadzono na rusztowanie z bali i desek. Wprowadzono ich kolejno dziesiątkami, a były cztery, i kazano im się obrócić twarzami do muru.

Chwilę potem padł rozkaz i wraz z nim salwa. Nie wszyscy zginęli od razu. Ruszali się jeszcze.

Tak stało się z drugą dziesiątką i trzecią.

Na owych trzydziestu tylko jeden fizycznie nie wytrzymał i osunął się przed egzekucją na ziemię. I na to była rada. „Oficer” podszedł i strzelił w skroń zemdlonego.

Wstrząsające wrażenie! Czyżby także dla katów? Bo, gdy czwarta dziesiątka przygotowana za rynkiem czeka na swoją kolej, pada decyzja: egzekucje wstrzymać. A więc cudem uratowani od śmierci?

Na dzisiaj – tak.

Ludność z odchylonymi głowami rozchodziła się wolno do domów. Wszyscy jakby zdrętwiali.

Tylko z pierwszych szeregów odkomenderowano Polaków do zabrania ciał. Nie pozwolono kapłanowi przygotować skazańców na śmierć.

Ale wśród tłumu na rynku pomimo wszystko stał kapelan i błogosławił.

[Książka, z której zaczerpnięto powyższą relację została przygotowana w ramach



prac Sekcji Zachodniej Departamentu Informacji Delegatury Rządu na Kraj w 1942 roku. Podstawą były materiały dokumentujące zbrodnie niemieckie na Ziemiach Zachodnich Polski, zbierane w konspiracyjnym archiwum od początku wojny. Przy wydawnictwie pracowali: „Konrad” (Kirył Sosnowski), „Mietek” (Edward Serwański), „Erazm” (Karol Maria Pospieszalski), „Remigiusz” (Aleksander Rogalski). Na karcie autorskiej napisano: „Do powstania książki tej przyczynili się: tropiony konspirator, ocaleni z pogromów, sędzia, któremu wciśnięto pióro do ręki wywłaszczeni, matka, której dzieci wyrwano na poniewierkę, świadkowie egzekucji publicznych, historyk literatury, który stać się musiał historykiem męczeństwa swego narodu, ludzie, których zeznania posiadają już certyfikat śmierci, przechodzień, żołnierze”].



[Z relacji świadka, niemieckiego prokuratora Wilhelma Verlohrena z sądu i egzekucji 21 października 1939 r. w Lesznie, cyt. za: Jerzy Zielonka, *W cieniu swastyki*, Leszno, Panorama Leszczyńska 2004]

Przed oblicze sądu postawiono ponownie 20 oskarżonych. Przewodniczący [G. Flesch] oświadczył, że za podżeganie i występowanie przeciwko Niemcom zostają skazani na karę śmierci, a wyrok będzie natychmiast wykonany. Na sali rozpraw ustawiono trzy wiadra. Skazańcy musieli do nich włożyć nakrycia głowy i wszystkie osobiste rzeczy wartościowe. W grupach 10 osób zostali potem wyprowadzeni na tzw. plac zamkowy przed gmach sądu... [...]

Na placu czekał pluton egzekucyjny – 30 policjantów. Dla zabezpieczenia muru przed kulami ustawiono worki z piaskiem. Skazani stawali twarzą do ściany z podniesionymi do góry rękoma. W pierwszej grupie jeden ze skazańców nie został trafiony i strzelano do niego powtórnie. Następnie lekarz policyjny stwierdzał zgon. Jednak w większości przypadków zachodziła konieczność dobijania z pistoletu. Komando polskich więźniów załadowało zwłoki na przygotowany samochód. Doprowadzono drugą dziesiątkę skazanych, którą rozstrzelano w podobny sposób. Ludność Leszna powiadomiono o posiedzeniu sądu doraźnego i o wykonaniu wyroków poprzedniego dnia wieczorem. Ludzie przyglądali się egzekucji z odległości 40–50 m. Do żadnych rozruchów nie doszło... [...]



6. „Na Polaków działa jedynie przemoc”

[Z dziennika ministra propagandy III Rzeszy Niemieckiej Józefa Goebbelsa, zapis z 14 X 1939 r., cyt. za: Eugeniusz C. Król, *Nazizm i komunizm. Likwidacja polskości – podobieństwa, działania zbieżne i różnice. Spojrzenie na nazizm* [w:] *Rzeczpospolita Utracona. Następstwa nazizmu i komunizmu na ziemiach polskich*, red. Jerzy Eisler, Konrad Rokicki, IPN, Warszawa 2010]

Na Polaków działa jedynie przemoc. Są przy tym tak głupi, że nie skutkują wobec nich żadne argumenty. Właśnie w Polsce zaczyna się Azja. Kultura tego narodu jest poniżej wszelkiej krytyki. Cienki nalot kultury posiada jedynie warstwa szlachecka. Jest ona duszą oporu przeciwko nam i dlatego musi zostać usunięta. Na jej miejsce przyjdą niemieccy chłopci.



7. Warstwy kierownicze zlikwidować

[Z przemówienia generalnego gubernatora Hansa Franka dotyczącego nadzwyczajnej akcji pacyfikacyjnej AB, Kraków, 30 maja 1940 r. [w:] *Sprawa polska na arenie międzynarodowej. Zbiór dokumentów*, Warszawa, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, 1965]

[...] Omówiłem w obecności SS-Obergruppenführera Krügera i kolegi Streckenbacha nadzwyczajny plan pacyfikacyjny. Celem jego jest skończyć w przyspieszonym tempie z masą wichrzących polityków oporu, znajdujących się w naszych rękach, oraz z typami politycznie podejrzanymi; plan ten ma równocześnie zrobić porządek z odziedziczonym przez nas bandytyzmem polskim. Przyznaję otwarcie, że kilka tysięcy Polaków, i to przede wszystkim z warstwy przywódców duchowych Polski, przypłaci to życiem. Chwila ta jednak nakłada na nas, narodowych socjalistów, obowiązek starania się o to, aby naród polski nigdy więcej nie stawiał żadnego oporu. [...] Ponadto SS-Obergruppenführer Krüger i ja postanowiliśmy, że ta akcja pacyfikacyjna zostanie przeprowadzona w przyspieszonym tempie. Proszę was, moi panowie, abyście z całą energią pomogli nam wykonać to zadanie. [...] Przeprowadzimy to zarządzenie – jak mogę panom powiedzieć w zaufaniu – w wykonaniu rozkazu, udzielonego mi przez Führera. Führer powiedział mi: sprawa przeprowadzenia i zabezpieczenia polityki niemieckiej w Guberni Generalnej jest w zupełności rzeczą odpowiedzialnych ludzi w Guberni Generalnej. Wyraził się tak: warstwy, uznane przez nas obecnie za kierownicze w Polsce, należy zlikwidować, co znowu narodzi się, należy wykryć i w odpowiednim czasie znów usunąć. Nie potrzebujemy obarczać tym policji w Rzeszy. Nie potrzebujemy tych elementów wprzód wlec do obozów koncentracyjnych w Rzeszy, ponieważ wówczas mielibyśmy tylko kłopoty i niepotrzebną korespondencję z rodzinami, lecz zlikwidujemy te sprawy w kraju. Uczynimy to też w sposób najprostszy. Moi panowie, nie jesteśmy żadnymi mordercami. [...] Każdy dowódca policji i SS, który ma ciężki obowiązek wykonywania tych wyroków, musi być w 100 proc. przekonany, że działa jako wykonawca wyroku prawa narodu niemieckiego. Dlatego też – jak uzgodniłem to z tow. Streckenbachem – do tych przypadków Akcji AB będzie stosowany tryb policyjnych sądów doraźnych, aby w żadnym razie nie było wrażenia samowolnego działania czy czegoś podobnego. Wierzę, że całość tego postępowania będzie mogła być zakończona do 15 czerwca, w każdym razie należy wszystko uczynić, aby to było możliwe.



1. 1939: Niemcy na Uniwersytecie Jagiellońskim

[Ze wspomnień profesora Jana Gwiazdomorskiego [w:] *Wspomnienia z pobytu profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego w niemieckim obozie Sachsenhausen*, Kraków, nakładem Księgarni S. Kamiński, 1945]

Kilka minut przed godziną dwunastą [6 listopada 1939], zjawił się na uniwersytecie [SS-Sturmbannführer Bruno] Müller w otoczeniu licznych SS-ów. [...] Müller wyszedł na katedrę i rozpoczął swe przemówienie, które brzmiało mniej więcej w ten sposób: „Moje panie i panowie. Przez to, że usiłowaliście pracować w zakładach oraz prowadzić egzamina, nie pytając nas o pozwolenie, przez to, że usiłowaliście otworzyć uniwersytet, nie pytając nas o zgodę, daliście dowód, że nie orientujecie się zupełnie w sytuacji, w jakiej uniwersytet się znajduje obecnie, i to co najmniej do końca wojny. Wasze usiłowania prowadzenia egzaminów i otwarcia uniwersytetu są aktem złośliwym (böswillig) i wrogim (feindlich) wobec Rzeszy Niemieckiej. Zresztą Uniwersytet Jagielloński był zawsze centrum propagandy antyniemieckiej. Uważajcie się za aresztowanych. Zostaniecie przewiezieni do obozu jeńców (wyraźnie: Gefangen-lager), gdzie będziecie pouczeni o prawdziwej waszej sytuacji. Pytań nie należy stawiać żadnych. Proszę, aby panie wyszły. Odtransportowanie zaczyna się natychmiast. Sądzę, że pan rektor zechce pochód rozpocząć.

[...] SS-i zaczęli wyprowadzać zebranych i sprowadzać ich na dół. Już tu od razu pokazało się, jakimi ludźmi są SS-i. Traktowano wszystkich per „ty”, potrącano ich kolbami, popychano, spychano z schodów, kilku profesorów pobito. Między innymi uderzono w twarz [Stanisława] Estreichera, [Janusza] Supniewskiego, rektora [Fryderyka] Zolla pchnięto kolbą w plecy.

[Profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego i Akademii Górniczej, aresztowani przez Niemców 6 listopada 1939 roku w czasie tzw. Sonderaktion Krakau, trzy tygodnie później zostali wywiezieni do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen. W ciągu ponad dwumiesięcznego okresu uwięzienia zmarło trzynastu spośród nich oraz lektor Stefan Bednarski. W następnych czterech latach okupacji z powodu chorób nabytych w obozie zmarło jeszcze piętnastu naukowców obu uczelni].



2. Śmierć Wiktora Ormickiego. Z nienapisanej księgi kaźni polskich naukowców

[Z relacji Stanisława Nogaja, *Gusen. Pamiętnik dziennikarza*, cz. 3, Katowice–Chorzów, wyd. Komitet b. więźniów obozu koncentracyjnego Gusen, 1945]

[...] Na zabiegi o zwolnienie prof. Ormickiego „lagerführer” Chmielewski odpowiedział w tak zwanym „Führungsbericht’cie” (sprawozdanie o prowadzeniu się więźnia), że prof. Ormicki nic się nie poprawił i jest nadal niebezpiecznym szowinistą polskim, mogącym na wolności wyrządzić duże szkody społeczeństwu niemieckiemu. Dalej pisał Chmielewski w swoim sprawozdaniu, że prof. Ormicki na terenie obozu uprawiał propagandę i został ukarany.

[...] We wrześniu 1941 r. w obozie gusenowskim zastrzono kurs przeciwko więźniom żydowskim. Więźniów żydowskich miano wykończyć w jak najkrótszym czasie. [...] Prof. Ormickiego los ten spotkał 17 września 1941 r. W dniu tym „Raportführer” Rudi Brust wydał rozkaz zamordowania 8-miu Żydów, obojętnie których. Wykonania rozkazu podjął się Helmut Becker z Hanoweru, więzień, były SS-man, skazany za kradzież na karę więzienia. [...] Po wyjściu SS-manów Becker wezwał do siebie znanych zbrodniarzy-morderców: wiedeńczyka Christa i berlińczyka Hommena. [...] Siódmą z rzędu ofiarą był w tym dniu prof. Ormicki. [...]

Ormicki pierwszy przekroczył próg [umywalni]. Christ, ukryty za drzwiami pod ścianą, ciężką pałką mierzył w głowę profesora. Popchnięty z tyłu przez Hommena, chybił. Cios dotknął zaledwie pleców Ormickiego. Becker i Christ spojrzeli zdumieni. „To jest nasz profesor, może zamienilibyśmy go na innego – odrzekł Hommen – Dał mi te papiery, bym wręczył je Nogajowi, pisarzowi na trójce”. „Tak jest. Dajcie to Nogajowi. To moje prace naukowe. On już wie, co z nimi zrobić” – dodał Ormicki. Becker wziął z rąk Hommena kajety, przeglądał kilka kartek, po czym zwracając je Homenowi, powiedział lekceważąco „Możesz to zrobić”. Zwracając się natomiast do Ormickiego, mówił: „Żał mi ciebie, profesorze, byłeś zawsze dobrym towarzyszem, ale cóż mamy robić, musimy cię utopić”. Profesor przygryzł wargi, starając się panować nad sobą. Mimo woli ujrzał pomordowanych towarzyszy niedoli, leżących pod ścianą. Widoczny dreszcz przebiegł jego ciało i otrząsając się, powiedział: „Zabijcie mnie inaczej, tylko nie topcie mnie w beczce”.

[...] Ormicki zdecydował się na powrót. Becker odebrał linkę z rąk Hommena, wszedł na cementowe koryto umywalni, zrobił pętlę i zawiesił ją wysoko na rurze przewodu z wodą. „Chodź do góry” – zawołał na Ormickiego. Ten, przy pomocy



Christa i Hommena, wszedł na koryto i stanął obok Beckera. Becker spokojnie poprzez głowę założył profesorowi pętlę na szyję. „Do widzenia na drugim świecie” – zawołał Becker, po czym stojącego na krawędzi Ormickiego zepchnął z koryta tak, że ten zawisł w powietrzu. Po trzech minutach uznano, że profesor już nie żyje. Becker, stojący cały czas na korycie obok wiszącego profesora, rozwiązał linkę na przewodzie, a ciało głucho opadło na ziemię. Christ i Hommen po posadce zbroczonej krwią, przewlekli ciało zamordowanego do poprzednich ofiar.

[...] Hommen, któremu Ormicki przed śmiercią wręczył zapisane kajety z pracą naukową „O zagadnieniach zaludnienia kuli ziemskiej”, nie miał odwagi osobiście przynieść ich do mnie, więc zwrócił się do „kapa” Maksa Kalasinaca, opowiadając mu przy tym, w jakich okolicznościach zginął prof. Ormicki, powtarzając ostatnią wolę zmarłego.

[Wiktor Ormicki (1898–1941) był jednym z najwybitniejszych polskich geografów młodszego pokolenia, docentem geografii gospodarczej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Aresztowany w czasie Sonderaktion Krakau, wywieziony do niemieckiego obozu koncentracyjnego Dachau, a następnie Mauthausen-Gusen, został tam zamordowany 17 września 1941 roku].



3. Zbrodnie w Wawrze

[Z relacji Stefana Sawickiego [w:] Jan Tyszkiewicz, *Egzekucja ludności cywilnej w Wawrze 27 grudnia 1939*, wyd. II uzupełnione, Warszawa, Urząd m.st. Warszawy Wydział Kultury dla Dzielnicy Wawer, 2010]

Po północy zbudziło nas głośnie łomotanie do drzwi. Byli to trzej żandarmi niemieccy z pistoletami maszynowymi na rękach. Weszli i kazali mężczyznom ubierać się. Nie ustąpili, gdy Ira błagała, aby pozostawili szesnastoletniego Andrzeja [Białowiejskiego]. [...] Wszystkich zatrzymanych zaprowadzili na wschodnią stronę torów kolejowych do willi, w której utworzyli sąd, a właściwie pseudosąd wojenny, polegający na biciu i spisywaniu personaliów.

Wraz z sześcioma mężczyznami stałem w zakątku ogrodu, przy ogrodzeniu posesji, w oczekiwaniu na naszą kolejność. Nikt nas nie wzywał. Nie mogłem widzieć, gdzie są nasi bliscy. Po zakończeniu „sądu” wyszedł podoficer i oznajmił po polsku, że za zabicie wczoraj w Wawrze dwóch żandarmów niemieckich, wszyscy zostaliśmy skazani na śmierć. Po tej strasznej wiadomości jeden z pilnujących nas żandarmów pobiegł zameldować, że jest jeszcze siedmiu, którzy nie byli sądzeni.

Po kilku minutach wrócił ten sam podoficer i oznajmił nam, że mamy wyjątkowe szczęście i że nie zostaniemy rozstrzelani, natomiast mamy pochować zabitych. [...] Odprowadzili ich na drugą stronę torów i rozstrzelali po dziesięciu, w świetle samochodowych i motocyklowych reflektorów. [...]

Nie byłem w stanie oderwać nóg od miejsca egzekucji. Ale już biegły z płaczem i krzykiem kobiety, które dowiedziały się. Musiałem iść do swoich. [...] Oczów mej matki i siostry nie zapomnę nigdy. Nigdy! Nigdy! Nigdy nie napiszę już więcej o tym. Nawet po tylu latach jest to zbyt trudne.

Tak zginęli mój ojciec, brat, szwagier i jego syn, a mój siostrzeniec, szesnastoletnie dziecko. To właśnie on krzyknął, uprzedzając śmiertelną salwę: „Niech żyje Polska!!!” [...]

Po ekshumacji z miejsca egzekucji, gdzie jest obecnie pomnik pomordowanych, wszyscy zostali pochowani na małym cmentarzyku w Glinkach-Wawrze. Leżą tam, wraz ze 103 rozstrzelanymi, obok siebie: Alfons Sawicki – 63 lata, Zbigniew Sawicki – 21 lat, Jerzy Białowiejski – 44 lata, Andrzej Białowiejski – 16 lat.

Dwóch ojców – dwóch synów. Dziadek, syn, wnuk i zięć obok siebie.

[Brat Jerzego Białowiejskiego – major Wojska Polskiego Maksymilian Białowiejski, został zamordowany przez NKWD, niespełna kilka miesięcy później, w Katyniu. Córką Jerzego Białowiejskiego – Marią Irmą, żołnierz AK, uczestniczka Powstania Warszawskiego, zginęła od przypadkowej bomby, zrzuconej przez sowiecki samolot w czasie walk o warszawską Pragę w połowie września 1944 roku].



4. W więzieniu mokotowskim i na Pawiaku

[Z relacji Tadeusza Drewnowskiego, *Więzienie rodzinne (3 IV – 3 IX 1940)* [w:] *Wspomnienia więźniów Pawiaka*, Warszawa 1964]

18 stycznia [1940] kilku gestapowców przetrząsnęło nasze mieszkanie przy ul. Konopczyńskiego i zabrało wszystkich – ojca, matkę, naszą pomoc, Zosię Łukasiewicz, i mnie. Czarnym Oplem odjeżdżaliśmy w stronę mokotowskiego więzienia. Dom rodzinny został opieczętowany – na zawsze.

W kolejce do więziennej kancelarii z przerażeniem rozpoznawałem znajome twarze. Aresztowania przybrały ogromne – jak na ówczesne pojęcia – rozmiary. Niemcy po raz pierwszy bodaj zastosowali zasadę zbiorowej odpowiedzialności – aresztowali nie tylko młodych konspiratorów, ale rodziny, sąsiadów, znajomych, w sumie – kilkaset osób. Zatrzasnęły się drzwi celi, więzienie tego dnia długo huczało odgłosami żelaznych podestów. Znaleźliśmy się we dwóch z ojcem w izolatce na IX oddziale. [...] Cella była nieoszkłona. Zima z 1939 na 1940 r. dała się wszystkim we znaki, 20-stopniowy mróz trzymał przez kilka miesięcy. Więzienie było ogrzewane, ale w celi lód zeszkrobywałem ze ścian. Najgorsze były noce. Nie zabrano nam płaszczy, ale ani futro ojca, ani mój gimnazjalny szynel nie ratowały przed mrozem. We dnie kursowaliśmy po celi, biegaliśmy po tych paru kwadratowych metrach, obijając się o ściany. Ojca wywoływano wielokrotnie na przesłuchania, odbywały się one w najdziwniejszych porach, często trwały długo w noc. Wtedy zostawałem sam. Wydawało mi się, że ojciec nie wróci, że drzwi nie otworzą się nigdy. Zwijąłem się w kłębek, zamierałem w oczekiwaniu. Nie był to strach. Prawdziwy strach jest sprawą doświadczenia, wypływa z rozeznania sytuacji, z przewidywania biegu zdarzeń i następstw, a te przekraczały moją wyobraźnię. Leżałem zwinięty w kłębek, skręcały mi się bebechy, byłem jak porażony napięciem nie do wytrzymania. Ojciec wracał – znękany i poturbowany. Mnie samego przesłuchiowano parokrotnie. Więźniów Mokotowa nie wożono do centrali na Szucha, przesłuchania odbywały się w pokojach miejscowej administracji. [...]

Pierwszą noc na Pawiaku spędziliśmy przy drzwiach celi, na ostatnim z brzegu sienniku, podmakającym od woniejącej paraszy. Wszystko było głupstwem, nie zmrużyliśmy oka, rozpoczęły się Jędrka opowieści z Szucha. Ale nawet gdyby nie powiedział słowa, wiedzielibyśmy, co przeżył. Nogi miał tak spuchnięte, że rozpychały nogawki spodni; nie mógł położyć się na wznak, nogi, pośladki, plecy były bryłą żywego mięsa. Widoczna opuchlizna twarzy – jak później stwierdzili lekarze – po-



chodziła z odbitych nerek. Jędrak nie umiał sobie wytłumaczyć, czemu spotkało go niezwykle wyróżnienie. Wszystkich jego towarzyszy z Szucha zabrano poprzedniego dnia, nie mieliśmy wątpliwości, że zostali oni rozstrzelani. [...]

Trafiłiśmy teraz – we trzech – do zbiorowej, bardzo licznej celi. Sporą jej część stanowili księża. [...] Przed rannym apelem odbywała się msza cicha wprawdzie, bez dzwonków, ale tym więcej przejmująca. Atmosfera tych nabożeństw udzielała się – uczestniczyło w nich wiele osób, dużo więźniów przystępowało do komunii. Mszę odprawiano pośpiesznie, stale ktoś czatował przy „judaszu”, trzeba było kończyć jak najszybciej, by zdążyć przed porannym obrzędkiem i nie narazić się na dekonspirację przed Niemcami. Z rana kazań nie wygłaszano, przenoszono je na późniejszą porę, często na wieczór. Obserwowałem te przedziwne nabożeństwa z ubocza. Modły, gesty, zaklęcia przypominały mi katakumby, nabożeństwa natchnionych i prześladowanych wiernych. Kazania wygłaszali znakomici kaznodzieje, rychło przemieniały się one w ogólną rozmowę czy dyskusję, w której uczestniczyli i luminarze teologii, i profani-laicy. [...]

Kilka pokoi szpitalnych mieściło się na Serbii, w więzieniu kobiecym, na pierwszym piętrze. Łóżek szpitalnych było tylko trzydzieści, ludzie ciężko chorzy gnieźdździ się po celach, wielu więźniów marzyło o szpitalu. Mnie dolegały czyraki (całe nogi ropiały) i szkorbut. [...] Odsypiałem mokotowskie noce, rozczytywałem się w książkach, o które łatwiej było w szpitalu, i godzinami przypatrywałem się normalnemu życiu po drugiej stronie krat. Na sąsiednich łóżkach leżeli ludzie z gestapowską chorobą, z ciężkimi ranami odniesionymi podczas śledztwa. W kącie sali, na ostatnim łóżku pod ścianą, leżał człowiek o znanym, charakterystycznym profilu, z dużą siwą grzywą, darzony respektem więźniów i obsługi szpitalnej. Był to Maciej Rataj, marszałek sejmu, znany przywódca ruchu ludowego. Nie podnosił się z łóżka, leżał prawie bez ruchu, mówił cicho i z trudem. Maciej Rataj nie opuścił szpitala aż do chwili wywózki na Palmiry. [...]

[Tadeusz Drewnowski został aresztowany w styczniu 1940 roku, w związku z akcją gestapo wymierzoną przeciw Polskiej Ludowej Akcji Niepodległościowej – jednej z pierwszych organizacji konspiracyjnych w Warszawie, którą kierował jego starszy brat Jerzy. W chwili uwięzienia miał czternaście lat. Jako małoletni został zwolniony 13 września 1940 roku].



[Z relacji Barbary Wiśniewskiej-Sokołowskiej, *W więzieniu mokotowskim i na Pawiaku (30 III – 22 XI 1940)* [w:] *Wspomnienia więźniów Pawiaka*, Warszawa 1964]

Aresztowano mnie w domu przy ulicy Radnej 17 m. 26 dnia 30 marca 1940 r. jako pracownicę firmy „Bistał” za kolportaż prasy podziemnej w rejonie Powiśla i Międzylesia. Nastąpiło to na skutek donosu jednego z kolegów biurowych, volksdeut-scha. Dostałam się do więzienia mokotowskiego wraz z dużą ilością osób w tym dniu aresztowanych.

Kiedy po brutalnej rewizji w domach przywieziono nas do więzienia mokotowskiego i ustawiono najpierw na małym dziedzińcu do fotografii, poruszałyśmy się otepiale, oglądając dziwnie niekiedy poubierane postacie kobiet, towarzyszek niedoli bez współczucia – nie było tutaj na to miejsca. Odczuwałyśmy raczej coś w rodzaju pociechy, że jesteśmy w większym zespole, choć była to niedobra pociecha.

Potem długie godziny stałyśmy na przewiewnych i zimnych korytarzach z rękami podniesionymi w górę, smagane przy lada poruszeniu pejczem. A gdy któraś ze śmiertelnie wyczerpanych kobiet upadła na żelazne płyty podłogi, budził ją strumień lodowatej wody. Wreszcie w celi, bezbronne, oderwane od wszystkich i wszystkiego co najdroższe, rozważałyśmy w trwodze nasze dalsze losy.

[...] W połowie kwietnia 1940 r. przewieziono nas w „budach”, pod silną eskortą SS-manów, na Pawiak. Wpędzono nas do budynku dawnej szkoły straży więziennej, do sali stosunkowo obszernej i widnej, wyposażonej w podłogę z desek, zlew i wodociąg. Na środku długi stół, wokół także ławy. Pod trzema ścianami rząd równie plugawych, jak na Mokotowie, wyrek, okrytych poszarpanymi kocami. Te pod oknami okupowały zasiedziały tu od kilkunastu dni Żydówki. Oficyna, w której mieściły się trzy podobne sale, wypełniona była teraz więźniarkami po brzegi.

[...] Wszystkie więźniarki, bez wyjątku, młode czy stare, chore czy kalekie, zwracały naszą uwagę pościeranymi do krwi kolanami. Zapytane, wyjaśniły, że są to skutki aplikowanej im „gimnastyki”, inaczej tzw. „sportu”. [...] Zupa, którą nas na wstępie ufetowano, była to cienka, szara ciecz, prawie bez kartofli, w której jedynie pływały dokładnie obrane z mięszu malutkie rybkie szkieleciki, niektóre z przytwierdzonymi jeszcze do nich łebkami. Mięsz poszedł zapewne na smakowite kotleciki dla „wygłodniałej” niemieckiej obsługi, a odpadki miały nakarmić więźniów [...] Wreszcie przeniesiono nas na Serbię. Siedziałyśmy teraz rzędem pod ścianą, z wyciągniętymi na mokrą posadzkę nogami, ubrane w palta czy podniszczone futerka, oglądając gorączkowo doszczętnie spreparowane przez rewidentów paczki. Cella nr 2, dokąd nas przeniesiono, była to przedwojenna izolotka o wymiarach 2 x 3 m, mieszcząca



się na niskim parterze. Była przeraźliwie zimna i ponura. W kątach, od posadzki aż do sufitu, czerniały szarozielone liszaje zadomowionej tu od dawna wilgoci. Jedyne małe, zakratowane, z lekka uchylone okienko, umieszczone niemal pod sufitem, skąpo sączyło światło dnia. [...]

Zarządzono nam pierwszy spacer. Zebrałyśmy pośpiesznie rozrzucone rzeczy, chowając je pod sienniki, ułożone na jednej żelaznej pryczy. Były tylko trzy na całą celę, więc kiedy szykowałyśmy się do snu, pryczę dla braku miejsca zapinało się na ścianie, a wspólne legowisko urządzałyśmy na środku, lokując się po kilka z każdej strony w ten sposób, że tylko głowy i górna część tułowia spoczywały na siennikach, reszta ciała na kamiennej posadzce. Było nam przy tym tak ciasno, że gdy któraś odwracała się na drugi bok, musiałyśmy to czynić wszystkie równocześnie na komendę.

Przez zakratowaną z korytarza bramę i wielkie drzwi wejściowe zeszłyśmy po schodkach na dziedziniec Serbii, na przepisowy 20-minutowy spacer. Dziedziniec ten był oddzielony od Pawiaka wysokim murem z boczną, przejściową bramą. Pod ogromną, ślepą ścianą szarej, czynszowej kamienicy, zamykającej podwórze Serbii od strony ulicy Pawiej, mieściła się dawna więzienna oranżeria.

Odmierzając teraz miarowym tupotem nóg ten upragniony odcinek darowanego nam czasu, cieszyłyśmy się, że możemy sprawić orzeźwiającą kąpiel zacządziałym płucom. Z uchylonych okien I i H piętra słyszałyśmy cichutkie nawoływania wiszących u krat towarzyszek, dyskretnie tylko odpowiadając wzrokiem lub uśmiechem. Tuż przy schodkach, w dużym okratowanym oknie niedawno zlikwidowanej kaplicy kłębiły się w ciżbie odizolowane od reszty więźniarek Żydówki. Żadna z nich nie podchodziła do okna — zbyt dobrze znały smak katowskiego pejcza. [...]



5. „...chcą uwięzić wszystkich ludzi, którzy by mogli być czynni”

[Z kroniki Ludwika Landaua, *Kronika lat wojny i okupacji*, t. 1, do druku przygotowali Zbigniew Landau i Jerzy Tomaszewski, Warszawa, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, 1962]

Dn. 3 kwietnia 1940 r.

Aresztowania, z których rozmiarów stopniowo zdajemy sobie sprawę, nie są jednak jeszcze bynajmniej zakończone. Dzisiaj rozeszła się wiadomość, że są przygotowywane jakieś baraki, że wożą gdzieś sienniki — że zatem liczyć się należy z dalszymi aresztowaniami. Istotnie, już dzisiaj część al. Niepodległości była przez jakiś czas zamknięta, strzeżono jej widać podczas przeprowadzania aresztowań i rewizji. Zdaje się, że i w innych punktach, odbywało się to samo. Podobno jest wyznaczony kontyngent ogólny tej akcji — ma być aresztowanych 10 tys. osób, które będą trzymane w owych barakach, jako *sui generis* obozach koncentracyjnych.

Jeśli idzie o genezę, to najbardziej prawdopodobna wydaje się hipoteza, że okupanci chcą uwięzić wszystkich ludzi, którzy by mogli być czynni i pobudzić do czynów społeczeństwo, i zabezpieczyć w ten sposób spokój na czas skoncentrowania całej uwagi na działaniach wojennych na zachodzie. Z wymienianych „powodów specjalnych” odpadła już sprawa wawerska: jak okazuje się, aresztowano tam ogółem 106 osób, z których jednak główną część wkrótce już zwolniono; z 9 zatrzymanych osób pięć rozstrzelano – różnego rodzaju rzeźmieszków itp., pozostałe cztery zwolniono. Mówi się o dążeniach Gestapo uchronienia się przed wysłaniem na front zachodni przez ujawnienie spisków polskich wykazujących potrzebę działania policji. Wreszcie kursuje nowa pogłoska mająca tłumaczyć aresztowania: o dokonanym rzeźmieszkom w zeszłym tygodniu zamachu na Franka; miał się on odbyć w jakimś małym mieście, przy pomocy granatu; zamach był nieudany, po nim nastąpiły liczne aresztowania. Prawdopodobnie i te wersje zawierają nie więcej prawdy od poprzednich.

[...]

4 kwietnia 1940 r.

Aresztowania dzisiaj odbywały się dalej, jak się zdaje, znów w wielkich rozmiarach. Pogłoski mówią, że liczba aresztowanych dosięga już czterech tysięcy – oczywiście są to domysły, które mogą być bardzo dalekie od prawdy. Pogłoski mówią też,

że zmieniała się obsada Gestapo i że akcję prowadzi to nowe kierownictwo; ta pogłoska co prawda przeczy rozpowszechnionej również wersji, że aresztowania prowadzone są przez obawiającą się wysłania stąd policję, starającą się wykazać swoją rację bytu i nie cofającą się przy tym przed prowokacją.

Tak samo jak w genezie, trudno się zorientować nawet w zakresie aresztowań. [...] W poszczególnych wypadkach zdarza się, że aresztowane są również żony, dzieci itp.

Aresztowania nie ograniczają się do Warszawy: masowo podobno dokonywane są w Lublinie i Radomiu.

Przy tym zakresie terroru politycznego jasne jest, że na nim w tej chwili skupia się cała uwaga społeczeństwa, a zwłaszcza inteligencji. Sądzę, że wszystkie wersje „szczegółowe” są nieprawdziwe i że idzie po prostu o sparaliżowanie jakiegokolwiek możliwości akcji wśród społeczeństwa w chwili zbliżających się rozstrzygnięć wojennych.

[Ludwik Landau (1902–1944) był ekonomistą i statystykiem, przed wojną pracował w Głównym Urzędzie Statystycznym i Instytucie Gospodarstwa Społecznego. W czasie okupacji niemieckiej działał w konspiracji, w Biurze Informacji i Propagandy Komendy Głównej Armii Krajowej, w Instytucie Gospodarstwa Społecznego i w Polskiej Partii Socjalistycznej (Wolność – Równość – Niepodległość). Prowadził kronikę wydarzeń okupacji niemieckiej. Aresztowany przez gestapo, został zamordowany w nieznanych okolicznościach. Jego kronika ocalała i została opublikowana po wojnie. Stanowi cenne źródło do dziejów okupacji niemieckiej w Polsce].



6. Zbrodnia w Sanoku

[Z relacji Nestora Kiszki, *Relacja „Nerona”* [w]: Andrzej Brygidyn, Magdalena Brygidyn-Paszkiewicz, *Wspomnienia i relacje żołnierzy Sanockiego Obwodu Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej 1939–1944*, Sanok, wyd. Andrzej Brygidyn, 2012]

[...] Więźniami w tym czasie byli przeważnie ludzie na wysokim poziomie intelektualnym, adwokaci, sędziowie, prokuratorzy, oficerowie różnych stopni, lekarze, księża i młodzież szkolna. Byli to wszystko ludzie złapani przy przechodzeniu granicy na Węgry. Pomoc moja uwydatniała się przez podawanie lekarstw, żywności, przekazywanie informacji o zachowaniu się więźniów na przesłuchaniach oraz grypsów. W pierwszych dniach maja 1940 r. została aresztowana część inteligencji sanockiej, jak prof. Józef Rec, Maria Górską, płk Ławniczak, Władysław Sadowski, Nunbergowie i inni.

W połowie czerwca 1940 r. w więzieniu wybuchł bunt. Więźniom udało się obezwładnić jednego ze strażników – Stanisława Żołnierczyka i następnie buntownicy otworzyli kilka cel, niestety jeden z więźniów – Sokół z Bukowska zaalarmował straż i ucieczka się nie udała. Po stłumieniu buntu gestapo masakrowało nahałami więźniów. W dniu 4 lipca w godzinach wieczornych gestapowcy i żandarmeria utworzyła szpaler, przez który przeprowadzono więźniów do budynku sądowego, gdzie odczytywano wyroki śmierci wydane przez Sondergericht. Sądzeni byli ci, których więziono za przejście granicy, jak i aresztowani w ostatnich miesiącach sanoczaniny. Po odczytaniu wyroku więźniów odprowadzano do celi przejściowych – celi śmierci. Od tej chwili było oczywiste, że ludzie ci będą rozstrzelani. Sami skazańcy własną krwią wypisywali na ścianach cel swoje nazwiska lub adresy bądź ostatnie życzenia i wiadomości.

We wczesnych godzinach porannych dn. 5 lipca zebrano więźniów na podwórzu więziennym, skąd przeprowadzono ich pod eskortą schuppo i gestapo do podstawionych samochodów. Więźniowie stawiali czynny opór. Maria Górską żona kapitana 2 psp [pułku strzelców podhalańskich] znieważała gestapowców, nazywając ich niemieckimi świniami, a także opluwała ich. Następnie rozżalona krzyczała do nich, że mimo zbrodni, które popełniają, ostatecznie i tak nie zwyciężą.

Pierwsi skazańcy szli obok siebie, następnych jednak skuwano dwójkami w obawie przed ewentualnymi ucieczkami, ponieważ w pierwszym transporcie doszło podobno do ucieczki jednego ze skazańców, prawdopodobnie Sokoła, o którym poprzednio wspominałem. O ile pamiętam w egzekucji tej stracony został Sedlak – nauczyciel z Wołkowyi lub Bobrki. Transportów było trzy. Ostatni wyjechał z więzienia



około godziny 6 z minutami. Każdy transport składał się z czterech samochodów ciężarowych krytych plandekami.

[...]

[Nestor Kiszka, pseudonim Neron, rozpoczął pracę w więziennictwie w 1938 roku w Przemyślu. W 1939 r. został zmobilizowany do samodzielnego baonu saperów w Przemyślu i wziął udział w wojnie z Niemcami we wrześniu 1939 roku. W sanockim więzieniu był strażnikiem. Udzielał pomocy więźniom. Jego relacja dotyczy zbrodni na 114 Polakach więzionych w Sanoku, dokonanej 5 lipca 1940 roku przez niemiecki 45. batalion policyjny, na polanie na stoku góry Gruszka nieopodal Tarnawy Dolnej. Egzekucję przeżył tylko Jan Schaller, który zbiegł z transportu].



7. Eksterminacja polskiej inteligencji na Lubelszczyźnie

[List pożegnalny Bolesława Wnuka napisany na chusteczce do nosa, cyt. za: *Zagłada polskich elit. Akcja AB-Katyń*, Warszawa, IPN, 2009].

Kochana Żono, Niuniusiu, Laluniu, Iwiesiu, matko, siostry, szwagry, krewni, znajomi, dziś zostają rozstrzelani przez władze niemieckie. Ginę za ojczyznę z uśmiechem na ustach, lecz ginę niewinny. Za krew niech Bóg zapłaci przekleństwem wiecznym podłym łotrom, Twój Bolek.

[Bolesław Wnuk (1893–1940) urodził się w Wysokiem (pow. zamojski). W czasie I wojny światowej uczestnik działalności niepodległościowej jako współorganizator struktur Polskiej Organizacji Wojskowej na Zamojszczyźnie. W niepodległej Polsce działacz obozu ludowego i piłsudczykowski, długoletni wójt gminy Wysokie, aktywny w organizacjach rolniczych, w 1938 roku został wybrany na posła na Sejm RP. Został zamordowany 29 czerwca 1940 roku przez Niemców w Rurach Jezuickich, w jednej z egzekucji akcji AB. Był dziadkiem Rafała Wnuka, historyka].

[Z relacji Pawła Adamca, *Droga do Zamku Lubelskiego* [w:] *Wspomnienia więźniów Zamku Lubelskiego 1939–1944*, wybór Jolanta Gajowniczek i in., Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1984]

[...] Minęło parę dni nerwowego wyczekiwania. Co noc na dziedzińcu więzienia słyhać było krzyki bitych i pojedyncze strzały. Odgłosy te spędzały nam sen z powiek. Każdy z nas przygotowany był na najgorsze. [...] 29 czerwca 1940 r. o godzinie dwudziestej trzeciej zaczęto wypędzać więźniów na dziedziniec. Stały tam stoły, a na nich lekkie karabiny maszynowe. Sprawdzano listy i sporządzano nowe wykazy. Trwało to do godziny trzeciej nad ranem. Domyślaliśmy się, że gestapowcy przygotowują transport do obozu koncentracyjnego, lecz nikt nie znał bliższych szczegółów. [...] Czekał nas obóz koncentracyjny w Sachsenhausen – na całe pięć lat.

[Autor relacji był nauczycielem. Został aresztowany za działalność konspiracyjną. Po wojnie mieszkał w Sopocie. Pracował w szkolnictwie].



[Z protokołu oględzin i ekshumacji ofiar egzekucji, cyt. za: Alina Gałań, *Akcja AB na Lubelszczyźnie*, „Biuletyn IPN”, grudzień–styczeń 2003–2004, nr 12–1 (35–36)]

Rozkopano pięć mogił. Były to rowy 2 m głębokie i 17 m długie. Na dnie każdej mogiły leżały zwłoki w pozycji przeważnie prostopadłej do osi rowu, zwrócone głowami w kierunku przeciwnym do wzgórza okalającego miejsce mordu. [...] Miejscami ciała pomordowanych pokrywały sąsiednie, a w kilku miejscach znajdowały się po 2–3 warstwy zwłok ułożonych jedna na drugiej. [...] Rozpoznano wyraźnie zwłoki w granatowym mundurze polskiego policjanta, jego czapkę oraz zwłoki w mundurze strażnika więziennego. Dwoje zwłok w sutannach z kołnierzykami, tzw. koloratkami, co pozwala przypuszczać, że byli to księża katoliccy. Kilka sukien i okryć nawet futrzanych na zwłokach kobiet. Reszta zwłok przeważnie w marynarkach, kamizelkach i spodniach [...] Po komisyjnym obliczeniu ustalono, że ilość zwłok w poszczególnych rowach wynosi: w I rowie około 70 zwłok; w II rowie około 120 zwłok; w III rowie około 80 zwłok; w IV rowie około 130 zwłok i w V rowie około 50 zwłok. [...] Liczne zwłoki miały ręce związane z tyłu sznurkami [...] na wielu czaszkach zachowały się opaski na oczodołach, na niektórych zaś widoczne były wgniecenia na skutek uderzenia tępym narzędziem [...].



[Z dziennika Zygmunta Klukowskiego, *Zamojszczyzna*, t. 1: 1918–1943, oprac. red. Agnieszka Knyt, współpraca Barbara Odnous, Warszawa, Ośrodek KARTA, 2007].

21 czerwca 1940

[...] Naoczni świadkowie opowiadali mi również, jak kazano biec hr. Aleksandrowi Szeptyckiemu, przeszło siedemdziesięcioletniemu starcowi właścicielowi Łabuń pod Zamościem. Gdy z wielkim trudem przebył on jakoś pierwsze okrążenie, kazali mu wejść do celi, zdjąć z siebie marynarkę, zostawić rzeczy i biec dalej. Starzec ponownie wszedł na bieżnię i próbował biec, lecz po kilkunastu minutach padł martwy na ziemię. [...] Jakiś ksiądz, wysokiego wzrostu, w długiej sutannie, z paczkami w rękach, nie mógł dać sobie rady z bieganiem. Gestapowiec popędzał, go bijąc pałką po plecach, wreszcie pchnął tak silnie, że ksiądz rozciągnął się jak długi na bieżni.

[Aleksander Szeptycki (1866–1940), ziemianin, znany lubelski społecznik i działacz gospodarczy, m.in. założyciel Rzymsko-Katolickiego Towarzystwa Dobroczynności i Towarzystwa Biblioteki Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie, był bratem gen. Stanisława Szeptyckiego i metropolity Andrzeja Szeptyckiego – grekokatolickiego arcybiskupa lwowskiego].

26 czerwca 1940

[...] Pozawczoraj rano wszystkich internowanych wywieziono do Lublina. Wypuszczono tylko kilka osób. [...] W Zamościu nastrój okropny. Ludzi boją się własnego cienia, mówią szeptem, oglądają się na wszystkie strony, wszędzie węsząc niebezpieczeństwo. Lada dzień spodziewają się dalszych aresztowań [...].

12 lipca 1940

Ogólne zdenerwowanie i napięcie narasta. Uporczywie utrzymuje się przekonanie, że jesteśmy w przededniu masowych aresztowań. Z Zamościa nadeszła straszną wiadomość o rzekomym rozstrzelaniu w Lublinie czterdziestu kilku osób z powiatu zamojskiego, w tym Bolesława Wnuka, posła na sejm, znanego działacza chłopskiego, wiceburmistrza [Michała] Nowackiego, majora [Zygmunta] Muchy, kapitana Śliwińskiego, redaktora [Zbigniewa] Klaudela i innych. [...]

[Zygmunt Klukowski (1885–1959), lekarz, historyk regionalista, oficer WP oraz ZWZ-AK, działacz powojennej konspiracji niepodległościowej, więziony przez Niemców i komunistów. Autor pamiętników z okresu międzywojennego i okupacji niemieckiej].



8. Polacy – pierwsi więźniowie niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz

[Z artykułu Władysława Bartoszewskiego [w:] *idem, Warto być przyzwoitym. Teksty osobiste i nieosobiste*, Poznań, W Drodze, 2005]

Nocą z 20 na 21 września [1940 roku] podzielono nas na grupy po 50 mężczyzn i po godzinie policyjnej przewieziono ulicami Warszawy do rampy na dworcu towarowym. Załadowano nas w grupach od 50 do 60 osób do wagonów bydlęcych. Nie było kubłów do załatwiania potrzeb ani wody. Doszły jeszcze dwa transporty z więźnia na Pawiaku. Pociąg stał do świtu, następnie powoli ruszył w kierunku południowo-zachodnim. Jechaliśmy przez Częstochowę, gdzie długo staliśmy na bocznym torze. U schyłku wrześniowego dnia, już po ciemku, przybyliśmy do Oświęcimia. Nie było jeszcze obozu z rampą w Brzezince, stanęliśmy w szczerym polu, niedaleko od wejściowej bramy starego obozu. Musieliśmy skakać z wysoka, bez różnicy – stary czy młody. Ujadanie psów. Padały ciosy. *Schnell, schnell* – to były pierwsze niemieckie słowa, które tam usłyszałem. Ruszyliśmy biegiem. I tak dotarliśmy do bramy.

Jakkolwiek komicznie by to brzmiało – ta brama wzbudziła w nas nadzieję. Widniało przecież na niej: *Arbeit macht frei*. A więc to obóz pracy? No, dobrze. Niech tam. Może jakaś fabryka? Ach, ci Niemcy mają takie odkrywcze hasła: *Arbeit macht frei...* Istniejące już krematorium, pierwsze w obozie, znajdowało się o niewiele kroków od tego napisu. Ale widok komina umocnił nas jeszcze w naszych oczekiwaniach – to jakaś fabryka, komin oznacza fabrykę, pracę. Nikt nie wiedział, że jesteśmy w Oświęcimiu, wysiedliśmy przecież w szczerym polu. A zresztą nikt też nie wiedziałby, co to jest Oświęcim.

Pierwsze wrażenie: kilka budynków i wielki plac apelowy. Oświetlono nas reflektorami, uformowano szyk, ustawiono alfabetycznie w szeregach. Teraz zobaczyliśmy po raz pierwszy kapo w ich pasiakach z różnokolorowymi trójkątami. Ludzie w paski z czarnymi, zielonymi i czerwonymi trójkątami głośno wrzeszczeli i mocno bili. Byli to przeważnie Niemcy, zwyczajni kryminaliści, kapo, z niskimi numerami obozowymi. Wyglądało to jak w jakimś cyrku, całkiem nierzeczywistym. Za oknami widniały jakieś twarze, zapytaliśmy je, gdzie jesteśmy, a twarze odpowiedziały: „Cicho, nie pytajcie, jesteście w Auschwitz”. „Ale co to za fabryka?” – „Zobaczycie sami”.

Potem ponumerowano nas, zaprowadzono do łaźni, tam była prawdziwie gorąca woda. Wszystko musiało odbywać się bardzo szybko, prawie biegiem. Musieliśmy oddać wszystkie nasze rzeczy, wetknięto je do worków, a my zostaliśmy odziani



na nowo. Nie wszyscy dostali pasiaki, ja miałem spodnie w paski i kurtkę Wehrmachtu. Tak ubrany jestem na zdjęciu obozowym, jako Häftling KL Auschwitz numer 4427. To zdjęcie często noszę przy sobie. Kurtka należała zapewne do rannego albo zabitego żołnierza niemieckiego, bo miała na sobie jeszcze ślady krwi. Przeleciało mi przez głowę: żołnierz zginął, a jego kurtka posłużyła za opakowanie dla żyjącego trupa. To nieźle. Dostaliśmy po kawałku szmatki z numerem, a nazajutrz dano nam igły i nitkę, aby to przyszyć. Po łaźni ogolono nas na całym ciele. I po raz pierwszy w Auschwitz powiedzieliśmy sobie „dobranoc”. Zdaje mi się, że dostaliśmy jeszcze kawę – więcej nic. W drodze do Auschwitz też nie dostaliśmy nic do jedzenia. W bloku 10 byłem tej pierwszej nocy z około 50 ludźmi w izbie.

Następnego dnia spędzono nas wszystkich na placu apelowym. Był to ranek 22 września 1940 r. Stali tam wszyscy więźniowie. Dowiedzieliśmy się już coś niecoś z rozmów, rzeczy strasznych, ale jeszcze tego nie pojmowaliśmy.

Już przed wojną słyszeliśmy o Dachau. Wiedzieliśmy, że tam bito komunistów, Żydów, tzw. aspołecznych, że niejeden został tam zabity. Tak: obóz, grubiaństwo, brutalność, wyzysk nawet, ale zagłada? Byliśmy poniżani, ale zdawało się, że naszemu życiu nic nie grozi.

22 września 1940 r. przyszedł komendant obozu Fritsch i powiedział: „Popatrzcie tam, na ten komin. Popatrzcie, to jest krematorium. Wszyscy pójdziecie do krematorium, 3 tysiące stopni ciepła”.

I ciągnął dalej, że jest to jedyna droga na wolność – przez komin. Było to piękne i szczere. Dobre widoki dla nas: przez komin. Pobledliśmy, drżałem. Bałem się. To była najcięższa godzina życia, cięższa niż czas działań wojennych w Warszawie i po zakończeniu działań. Przez lata całe śnił mi się ten poranek, każdej nocy tam wracałem, widziałem komin i słyszałem, jak Fritsch mówi, że jest tylko jedna droga na wolność – przez komin. I nawet we śnie bladłem.

A wtedy – tylko patrzyliśmy.

Esesmani wyszukali sobie ofiarę, nauczyciela gimnazjum z Warszawy, nowo przywiezionego do obozu. Nie wiem, czym zawinił, może stał nie dosyć prosto, wszystko jedno. Kapo wywlekli go przed front, widzieliśmy to wszyscy, kilka tysięcy ludzi, ja też. Numer 4427, Bartoszewski, patrzył na to, widział wyraźnie, widzę to jeszcze teraz. Zaczęli tego nauczyciela bić, znęcać się nad nim. Upadł, pozostał już na ziemi, nieprzytomny, krwawił. Nie wiem, czy go zatłuczono na śmierć, zdawało mi się, że nie żyje. Trwało to 10, może 15 minut. Stało nas tam z 5 tysięcy mężczyzn, wyprężonych na baczność. Byliśmy widzami, żaden z nas nic nie zrobił. Ja też tam byłem i też nie zrobiłem nic i uważam to dziś jeszcze za życiowy wstyd, choć rozumiem



to wszystko. Co przez zastraszenie można osiągnąć w ciągu paru godzin. Jak można poniżyć człowieka w tak krótkim czasie. Co można z człowieka zrobić. Nas, tej masy ludzi, nie poddano torturom, ale co mogliśmy zrobić: karabiny maszynowe na górze, strażnicy dokoła na dole. Znęcano się nad człowiekiem... Było to celowo zorganizowane widowisko. I cel osiągnięto: baliśmy się.



9. „Leżących bili i kopali...”

[Ze wspomnień Ignacego Radlickiego, *Kapo odpowiedział – Auschwitz. Wspomnienia adwokata z obozu koncentracyjnego*, przedmowa Józef Szajna, oprac. Marek Gałęzowski, Warszawa, Redakcja „Palestry”, 2008].

[...] Pierwsze sześć tygodni pobytu naszego transportu w Oświęcimiu poświęcono uczeniu nas karności i drylu wojskowego. Czas od rana do wieczora z półtorgodzinną przerwą na obiad poświęcono na ćwiczenie nas w sztuce maszerowania, stawania na baczność, salutowania, obrotów wojskowych.

Biegi, przysiady, żabki, padnięcia i podnoszenie się na komendę były i formą ćwiczeń cielesnych, i kary.

Chód winien być zawsze wojskowy. Odpowiedzi przełożonym należało składać w pozycji „na baczność”. Przełożonym oddawać ukłony honorowe – stojąc na baczność, twarzą zwróconą do przełożonego. Gdy esesman wchodził do sali czy pracowni, pierwszy z brzegu powinien krzyknąć „baczność!” i w postawie służbowej zameldować ilość obecnych. Wszyscy inni powinni stać na baczność.

[...] Komenderującymi najczęściej byli blokowi. Komenda była niemiecka, niezrozumiała dla ucha i trudna do zapamiętania. Blokowi i ich zastępcy więźniowie nie zawsze byli wojskowymi i uczyć nie umieli. Wyjaśnień nie dawali – były zbędne, bo po niemiecku nikt nie rozumiał, a blokowi nie umieli lub nie mogli mówić po polsku. Jak kazano biegać w kółko, to biegaliśmy godzinę i dłużej. Panowały silne upały, boso po ostrym żwirze goniono nas bez przerwy. Gdy starsi zostawiali ze zmęczenia na końcu lub padali, to bito ich i zmuszano do biegu. [...] Komendę »powstań – padnij!« wydawano tak szybko, że nim się padło, już kazano powstawać. Wszczynał się bałagan, za co znów bito. Już chyba tydzień ćwiczyliśmy, gdy postanowiono nam dać szkołę. Więźniów bloku naszego podzielono na trzy części i wprowadzono w boczne uliczki. Około 200 ludzi poprowadziło dwóch esesmanów (młodych 18-letnich szczeniaków) na tyły 10., 11., 12. i 13. bloku. Oni stanęli na dwóch krańcach uliczki, a nam kazano biegać i na komendę padać, i wstawać. Ćwiczenie to trwało od godziny pierwszej do siódmej wieczorem. Uzbrojeni w koły, bili opóźniających się. Bili – mało powiedzieć. Gdy zziązani, oblani potem biegliśmy, oni podbiegali niepostrzeżenie z boku, podstawiali nogę. Jakżeż niektórzy całym ciężarem ciała padali na twarz. Wzdłuż koła padali zemdleni. Krew buchała im z ust. Czasem piana. Wieniec z 40 padłych więźniów znaczył linię ich biegu. Leżących bili i kopali, aby ich zmusić do powstania. Jednemu, aby się prze-



konać, czy nie symuluje, do półotwartych ust kół wpychali. Nie mieli mordercy litości.

[Ignacy Radlicki (1892–1967), adwokat, żołnierz I Brygady Legionów Polskich, działacz polityczny związany z obozem piłsudczyckim. Aresztowany 12 lipca 1940 roku, uwięziony na Pawiaku, w następnym miesiącu, w grupie kilkudziesięciu adwokatów warszawskich, został wywieziony do niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz w pierwszym transporcie z Warszawy. Zwolniony wiosną 1941 roku, działał w konspiracji jako współpracownik Delegatury Rządu na Kraj i członek piłsudczyckiego Konwentu Organizacji Niepodległościowych. Po wojnie był represjonowany przez władze komunistyczne – m.in. więziony w obozie w Rembertowie i w Rawiczu, a na początku lat pięćdziesiątych zmuszony do przerwania praktyki adwokackiej].



Ignacy Radlicki z żoną Elżbietą

(fotografia przedwojenna ze zbiorów Marii Karaczun, córki Ignacego Radlickiego). Na początku 1941 roku Elżbieta Radlicka próbowała interweniować w sprawie więzionego w Auschwitz męża. Ciężko pobita przez Niemców, zmarła w wieku niespełna trzydziestu jeden lat, osierocając dziesięcioletnią córkę Marię oraz siedmioletniego synka Jana.

10. „Najlepiej pamiętam głód”

[Ze wspomnień Wandy Póltawskiej, *I boję się snów*, wyd. 11, Częstochowa, Edycja św. Paweł, 2011]

[...] coraz bardziej doskwierał nam głód. Z naszych zapasów więziennych nie zostało nic. Chudliśmy. Zaczęły się ogłupiające, niekończące się rozmowy o jedzeniu. Głód był silniejszy niż pragnienie snu. Głodny człowiek nie może spać. Zresztą tego już nie da się wyliczyć, co dokuczało nam najbardziej.

Najlepiej pamiętam głód, a raczej jego skutki. Zaczęły się straszne dni. Kobiety, rozgorączkowane, z oczami chorobliwie błyszczącymi i wychudłymi twarzami, mówiły o jedzeniu. Zaczynało się niewinnie od opowiadania o koncercie lub teatrze, następnie zaś nieuchronnie padało pytanie: – Ale potem gdzie była pani na kolacji? – i koniec z rozmową.

Długie, drobiazgowo rozwodzenie się na temat najlepszego sposobu nadziewania indyka. Słuchały tego z jakąś chorobliwą zachłannością, ba – były takie, co to wszystko spisywały i zapraszały potem do siebie na fikcyjną ucztę, czytając na głos: – Najpierw eleganckie przystawki, potem wina, mięsiwa i wreszcie desery z lodami. Instynktownie bałyśmy się tych rozmów jak ognia. Uciekałyśmy od nich. Żal nam było tych kobiet, a równocześnie powstawał w nas wstręt i lęk, żebyśmy nie stały się takie same. I istotnie nie czułam głodu. Nie czułam go prawie nigdy jako dręczącego uczucia. Byłam tylko coraz chudsza, coraz słabsza. [...] Patrzyliśmy z przerażeniem na kobiety, które jeszcze podczas kwarantanny i w więzieniu dyskutowały o literaturze, sztuce, życiu. Teraz mówiły tylko o jedzeniu i nie były w stanie o niczym innym myśleć.

To było potworne: jedne wołały solidne potrawy, żeby „się najeść”; inne – bardziej wyrafinowane; jedne wybierały desery; inne – zimne zakąski...

Niektóre notowały te kulinarne przepisy w różnych językach, niby dla nauki obcego języka.

Były takie, które przed snem czytały sobie do poduszki jeden przepis.

Nienawidziłam tych rozmów i tego głodno-żarłocznego nastroju. Czyż naprawdę tak zwane człowieczeństwo jest sumą przyjętych kalorii i niczym więcej?

Człowiek syty nigdy nie pojmie, co to jest głód. Trzeba doświadczyć, co znaczy nie móc zasnąć z głodu, mieć zawroty głowy, coraz słabsze mięśnie. Mierzyłyśmy siłę kotłami. Na początku ani razu nie przystawaliśmy, niosąc kocioł od kuchni do bloku, teraz coraz częstsze były przystanki, coraz krótsze odcinki drogi. Noszenie kotła



– mała i pozornie błaha rzecz – a ileż w tym Kesselholen [noszeniu kotła] kryło się bólu, zmęczenia, upokorzenia, ile policzków i uderzeń. [...]

[Wanda Półtawska urodziła się w 1921 roku w Lublinie. W czasie II wojny światowej działała w konspiracji i w tajnym nauczaniu. Przez cztery lata była więziona w niemieckim obozie koncentracyjnym w Ravensbrück i poddawana tam pseudonaukowym eksperymentom medycznym. Po wojnie ukończyła medycynę. Pracowała jako lekarz, specjalizując się w psychiatrii. Wykładała na Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie, kierowała Instytutem Teologii Rodziny przy PAT. W 1983 roku została członkinią Papieskiej Rady ds. Rodziny oraz Papieskiej Akademii „Pro Vita”].



11. Zbrodnie niemieckiej pseudomedycyny

[Z książki Stanisława Serkowicza, *Nieludzka medycyna. Lekarze w służbie nazizmu*, Warszawa, Oficyna Wydawnicza „Medyk”, 2007. Zestawienie zbrodniczych doświadczeń w wybranych obozach koncentracyjnych i zagłady pochodzące z książki Stanisława Serkowicza zamieszczamy obok w załącznikach PDF]

Buchenwald

[...] [Hans Eisele] wybranych przyprowadzał do ambulatorium i tu jednym wstrzykiwał apomorfinę, lek wywołujący silne wymioty, aby obserwować ich skutek na więźniu, innych prowadził na salę operacyjną, aby tam dokonywać dowolnych operacji, np. amputacji kończyny lub resekcji żołądka.

[W latach 1943–1945 SS Untersturmführer Hans Eisele dokonywał w obozie w Buchenwaldzie wielu zbrodniczych zabiegów chirurgicznych. Zazwyczaj nie stosował znieczulenia. Tylko nieliczne ofiary zbrodniczych praktyk Eiselego przeżyły. Po wojnie skazany na karę śmierci, wyroku jednak nie wykonano i przekazano zbrodniarza do NRF, gdzie w 1952 roku został zwolniony. Do końca lat pięćdziesiątych pracował jako lekarz Kasy Chorych, po czym wyjechał do Egiptu, gdzie otworzył prywatną praktykę lekarską].

Dachau, stacja chirurgiczna na bloku I

Operowano wszystko bez oględzin i diagnozy. Na przykład przez kilka dni dokonywano tylko operacji żołądka. W inne dni znowu operowano pęcherzyk żółciowy, wyrostek robaczkowy lub przepuklinę. Operację wyrostka robaczkowego i przepukliny łączono ze sterylizacją. W ten sam sposób operowano nerki, płuca lub gruczoły tarczycowe, co było specjalnością dr. Langa. Eksperymentowano nie tylko na chorych, ale i na zdrowych. Kapo rewiru wybierał 3–4 więźniów z bloku i umieszczał w rewirze. Lekarze SS ustalali rodzaj operacji. Jednemu więźniowi wmawiano, że ma wrzody żołądka, ponieważ skarżył się na złe jedzenie w obozie, drugiemu kamienie żółciowe w lub nerkowe, trzeciemu przepuklinę, czwartemu zrosty na płucach itp.

SS-Obersturmführer Wilhelm Jäger, w cywilu lekarz dentysta, specjalizował się w amputacji palców i nóg. SS-Obersturmführer dr Herman Richter, zaledwie absolwent Akademii Medycznej w Grazu – w zabiegach na nerkach, SS-Obersturmführer dr Kahr – w operacjach żołądka, SS Haptsturmführer dr Siegbert Ramsauer w operacjach dróg moczowych. Dokonywali oni najbardziej ryzykownych zabiegów chirurgicznych, nie licząc się ze wskazaniami i skutkami powodując olbrzymią śmiertelność.



Mauthausen

[SS-Obersturmführer dr Herman Richter] jako materiału doświadczalnego używał więźniów, a najbardziej interesowały go operacje brzuszne, zwłaszcza zespolenie jelit. Często zdrowym ludziom wycinał duże odcinki jelit, resekował cały żołądek lub gruczoły wewnętrznego wydzielania. Zazwyczaj w ten sposób operowani umierali. Umiejętności, jakie dr Richter zdobył na kursach operacyjnych na zmarłych, pragnął natychmiast wypróbować praktycznie. Ponieważ jednak nie miał on odpowiednich przypadków do operacji brzusznych, jak np. wycięcie woreczka żółciowego, jelit, operacji na wątrobie czy nerkach, od jesieni 1942 r., wybierał codziennie 3–4 chorych i wykonywał resekcję żołądka, jelit i trepanację itp. W ten sposób w ciągu kilku tygodni bez wskazań zoperował 300 osłabionych, ale poza tym zdrowych mężczyzn. Nie troszczył się on przy tym o swoje ofiary, które w większości umierały po tych zabiegach. Osoby, które przeżyły operacje, zabijano zastrzykami do serca.

[Na podstawie relacji Zbigniewa Wlaskowskiego oraz dr Josefa Podlaha, naczelnego lekarza – więźnia, zmuszanego do asysty przy „eksperymentach” dr Hermana Richtera]

Gusen

[SS-Obersturmführer Hermann Kiesewetter] zwykle pijany wpadał niespodziewanie do obozu, wybierał po drodze przypadkowo spotkanych więźniów, zabierał do rewiru, by wykonać na nich jakieś operacje. Zwykle zabiegu nie kończył i pozostawiał ofiarę w narkozie z otwartą jamą brzuszną i porozciągаныmi jelitami. Po pijanemu przyjmował chorych do rewiru, kwalifikował do „naszprycowania” i wysyłki do Hartheimu, gdzie były komory gazowe.



[Fragment wspomnień obozowych Karoliny Lanckorońskiej z obozu w Ravensbrück (1943 r.), cyt. za: Karolina Lanckorońska, *Wspomnienia wojenne 22 IX 1939–5 IV 1945*, Kraków, Znak, 2011]

[...] Zaczęło się znów czekanie, urozmaicone tym razem przybyciem nowej koleżanki. Była nią osławiona Gerda Querrenheim, postrach rewiru, zaciekle nieprzyjaciółka Polek. Dostała się do bunkra za to, że zaszła w ciążę jako kochanka lekarza, doktora Rosenthala. Była z zawodu pielęgniarką, nosiła czerwony trójkąt, za co zaś pierwotnie została zesłana do Ravensbrück nie wiedziałam. Wiedziałam natomiast, że Gerda zna wszystkie tajemnice rewiru; jeszcze gdy byłam w obozie, mówiono mi, że dusi niemowlęta i wrzuca je do pieca centralnego ogrzewania – postanowiłam więc wejść z nią w kontakt. [...]

Istotnej tajemnicy operacji – zdaje się nie znała i ona, mówiła tylko, że najczęściej chodzi o cztery typy zabiegów: o operacje kostne septyczne i aseptyczne oraz o takie same dwa rodzaje operacji mięśni. Zabiegi dokonane na siedmiu „królikach”, które umarły, należały głównie do innych rodzajów operacji. Chodziło tam przede wszystkim o wyjęcie kości dla ciężko rannych Niemców oraz o eksperymenty z bombami gazowymi. Zapytałam, do której grupy należało sześć „królików” i otrzymałam odpowiedź, że chodziło o operacje „normalne” zastrzelonych po wyzdrowieniu przy egzekucjach polskich więźniarek politycznych.

[Karolina Lanckorońska (1898–2002), wykładowca Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, pierwsza kobieta w Polsce, która uzyskała habilitację z dziedziny historii sztuki. W czasie okupacji niemieckiej urzędniczka Rady Głównej Opiekuńczej, m.in. odpowiadała za opiekę nad więźniami w Generalnym Gubernatorstwie. Należała do ZWZ-AK. Aresztowana w 1942 roku przez gestapo, do końca wojny była więziona w niemieckim obozie koncentracyjnym KL Ravensbrück. Swoje przeżycia z okresu okupacji opisała w książce *Wspomnienia wojenne 22 IX 1939 – 5 IV 1945*. Po wojnie mieszkała we Włoszech, była oficerem prasowym II Korpusu Polskich Sił Zbrojnych, współzałożycielką Polskiego Instytutu Historycznego w Rzymie oraz Fundacji Lanckorońskich z Brzezia. W 1991 roku została odznaczona Krzyżem Wielkim Orderu Polonia Restituta. W 1994 roku przekazała Polsce kolekcję dzieł sztuki o unikalnej wartości historycznej i artystycznej.]



[Z zeznań niemieckiej lekarki obozowej Herthy Oberheuser, cyt. za: Ernest Klee, *Auschwitz. Medycyna III Rzeszy i jej ofiary*, Kraków, Universitas, 1997]

Byłam specjalistą chorób skóry i chorób wenerycznych, ale zawsze interesowała mnie chirurgia. Dla kobiety prawie niemożliwe było przebicie się w Niemczech jako chirurg. Taka sposobność nadarzyła się dopiero w KL Ravensbrück. [...] W sierpniu 1942 r. rozpoczęły się w naszym rewirze tzw. operacje na królikach doświadczalnych, nazwałam je doświadczeniami na żywych obiektach. Kierowano na nie kobiety, które jako polskie więźniarki polityczne zostały skazane na śmierć [...]. Pierwszy eksperyment, jaki przeprowadzaliśmy, był próbą przeniesienia przy pomocy bakterii zgorzeli gazowej na zdrowe kobiety. [...] Robiło się to przez wkładanie ciał obcych, jak np. drewno. [...] Według mnie, tylko trzy kobiety zmarły z tego powodu. Jako przyczynę śmierci stwierdziliśmy zaburzenia krążenia. [...] Drugim eksperymentem była tzw. regeneracja kości podlegająca specjalnemu postępowaniu leczniczemu dr. Stumpfeggera. Ze zdrowej kości podudzia pobierało się wióry kostne, które osadzało się ponownie w tym samym lub innym miejscu.



[Fragmenty zeznania Haliny Piotrowskiej, więźniarki KL Ravensbrück dotyczące wydarzeń z 1943 roku (zeznanie złożone w 1945 roku), cyt. za: Ernest Klee, *Auschwitz. medycyny III Rzeszy i jej ofiary*, Kraków, Universitas, 1997].

13 stycznia 1943 r. po zastrzyku znieczulającym:

Obudziłam się z piekielnym bólem w prawej nodze. Wyglądała okropnie: czarno-niebieska, jakby od uderzeń. Była spuchnięta i leżała w kałuży krwi.[...]

Po kolejnym zbiegu (1943) r. :

[...] obydwie nogi miałam zabandażowane, przez opatrunek i żelazną szynę leciała krew. Bóle przewyższały, wszystko co może wytrzymać człowiek. Jak się później okazało, przeprowadzono zabieg wprowadzający do dalszych operacji, które polegały na wycięciu tkanki kostnej i szpiku kostnego.

W 1945 r. po oswobodzeniu:

[...] Teraz lekarze stwierdzili między innymi ubytek kości nogi o długości siedmiu centymetrów oraz zapalenie szpiku kostnego w obu nogach.



[Fragmenty wspomnień dr. Jana Cespivy więźnia-lekarza z Auschwitz na temat eksperymentów przeprowadzanych przez dr. Jozefa Mengele, cyt. za: Stanisław Serkowicz, *Nieludzka medycyna. Lekarze w służbie nazizmu*, Warszawa, Oficyna Wydawnicza „Medyk”, 2007]

Przypominam sobie małą Dagmar. Przybyła ona na świat w Auschwitz, a ja pomagałam przy porodzie. Umarła ona, gdy Mengele wstrzyknął jej jakiś zastrzyk do oczu, gdyż chciał w ten sposób wypróbować, czy można wywołać zmianę barwnika tęczówki. Mała Dagmar miała otrzymać niebieskie oczy.

Zdarzyło się, że jedno z wyselekcjonowanych z transportu bliźnięt zmarło naturalną śmiercią. Sekcja stwierdziła anomalię w budowie serca. Wtedy Mengele pojechał autem do obozu i wywołał brata zmarłego bliźniaka. Poczęstował dziecko czekoladką i wziął je do samochodu. Podjechał na dziedziniec krematorium i kiedy wychodziło z samochodu, zabił je strzałem pistoletu w tył głowy. Zwłoki przekazał do sekcji.

Dr Mengele zebrał około 10 par bliźnięt. Chciał sprawdzić, czy pary te mają identyczne cechy. Trzeba było na to przeprowadzić badania krwi, moczu i wszelkie próby serologiczne. A wreszcie, chcąc uzupełnić swe badania, nie zawahał się przed zabijaniem dzieci, aby problem zbadać dogłębnie podczas sekcji.

Jednemu z bliźnięt wstrzykiwano określone chemikalia i czekano, co z tego wynika. Jednym z nich był płyn, o którym sądzono, że może wywoływać działanie na pigmentację włosów [...].



[Wybrane kategorie niemieckich zbrodniczych eksperymentów medycznych w niemieckich obozach koncentracyjnych za: Stanisław Serkowicz, *Nieludzka medycyna. Lekarze w służbie nazizmu*, Warszawa, Oficyna Wydawnicza „Medyk”, 2007]

a. Doświadczenia z dziedziny chorób zakaźnych:

- dur plamisty i dur brzuszny
- badania wartości szczepionek przez sztuczne zakażanie ludzi
- badania immunologiczne w przebiegu duru plamistego
- badani okresu inkubacji i zakaźności duru plamistego
- próby leczenia duru plamistego (kilka kategorii)
- próby tolerancji ustrojów ludzkich na szczepionki durowe, paradurowe i inne
- gruźlica
- zagadnienia immunoterapii
- próby leczenia inhalacjami z węgla koloidalnego
- leczenie ziołami
- leczenie preparatami farmaceutycznymi
- malaria
- poszukiwania szczepionki przeciwżymnicznej
- wirusowe zapalenie wątroby
- próby identyfikacji wykrytych wirusów
- zgorzel gazowa i tężec
- próby leczenia sulfonamidami
- ropowice
- próby leczenia środkami homeopatycznymi
- próby leczenia przyżeganiem kwasem karbolowym

b. Doświadczenia z dziedziny medycyny wojennej:

- badania wytrzymałości organizmów ludzkich na dużych wysokościach
- badania wytrzymałości organizmów ludzkich na niskie temperatury
- doświadczenia nad przydatnością wody morskiej do picia przez rozbitków
- doświadczenia z pociskami zawierającymi akonitynę
- zatrucia gazami bojowymi
- zapobieganie zatruciu fosgenem
- leczenie zatrutych fosgenem
- leczenie poiperytowych owrzodzeń skóry
- próby odtruwania wody pitnej skażonej gazami bojowymi



- leczenie oparzeń po bombach fosforowo-kauczukowych
- próby dopingowe
- badania nad pozorowaniem chorób
- żółtaczka
- sztucznie wywołane owrzodzenia podudzi
- wykorzystanie przeterminowanej krwi konserwowanej

c. Doświadczenia z dziedziny problematyki rasowej:

- próby masowej sterylizacji
- wprowadzanie środków drażniących do jamy macicy
- naświetlanie narządów rodnych promieniowaniem rentgenowskim
- doświadczenia na bliźniakach
- zbiór szkieletów uznanych za niższą rasę
- próby ustalania rasy za pomocą badania krwi

d. Doświadczenia terapeutyczne i diagnostyczne:

- badanie leku mającego zwiększać krzepliwość krwi
- badania nad odnową mięśni, nerwów i kości
- próby przeszczepów kości
- doświadczenia z zakresu żywienia
- dieta bezbiałkowa
- dieta z białkiem zastępczym
- próby z lekiem zwalniającym czynność serca
- doświadczenia farmakologiczne dla wymuszania zeznań
- doświadczenia nad zanikiem wątroby u osób wyniszczonych
- nakłucia wątroby w celach rozpoznawczych
- badania nad chorobą głodową
- badania nad wysiłkowym utlenowieniem krwi u osób wyniszczonych
- próby leczenia chorych na raka wyciągami roślinnymi
- badania nad wczesnym wykrywaniem raka szyjki macicy
- badania nad rakiem wodnym
- próby hormonalnego leczenia homoseksualistów męskimi hormonami płciowymi
- problematyka tatuaży



12. Eutanazja

[Fragmenty zeznań uczestników procesu Jozefa Klehra na podstawie: Hermann Langbein, *Auschwitz przed sądem. Proces we Frankfurcie nad Menem 1963–1965. Dokumentacja*, Wrocław–Warszawa–Oświęcim, IPN, 2011]

Doktor Czesław Głowacki: Byłem w Leichenragerkommando. Musieliśmy wynosić zwłoki tych, których Klehr zabił zastrzykami fenolu. Szprycował w bloku 20 oraz w kostnicy bloku 28. Ta procedura zabijania wyglądała w następujący sposób:

Zabijano w pomieszczeniu zaraz obok wejścia. Wydzieleni musieli czekać za korytarz na korytarzu bloku 20. Ciała natychmiast były wynoszone do umywalni naprzeciwko. Potem zabieraliśmy je na noszach albo na wózku – w zależności od liczby ciał. Niektórzy jeszcze wtedy żyli.

W pamięci zapadł mi szczególnie jeden przypadek. W umywalni podniósł się wielki silny mężczyzna, który wcześniej dostał zastrzyk z trucizną. Na lewo od wejścia stał kocioł, a obok niego ławka. Mężczyzna ten z ogromnym trudem usiadł na tej ławce; wtedy wszedł Klehr i dał mu drugi zastrzyk w serce. Klehr po każdej akcji miał w zwyczaju przychodzić do umywalni, aby zobaczyć, ile ofiar.

Widziałem także Klehra bezpośrednio przy szprycowaniu. Tuż obok wejścia do pokoju stał mały stolik. Były na nim butelki fenolem i strzykawki. Obok stało krzesło, na które sadzana była ofiara. Ofiary często krzyczały. Klehr rozkazywał kandydatom na śmierć podnieść do góry lewą rękę i zasłonić sobie usta. Wtedy był swobodny dostęp do serca i Klehr mógł bez przeszkód szprycować. Po zastrzyku ofiara osuwała się na ziemię. Wtedy albo dwóch żydowskich więźniów, albo my z Leichenragerkommando przenosiliśmy zwłoki do umywalni. Często pozostawały przy tym drzwi otwarte, tak, że mogłem wszystko dokładnie widzieć. Przy takich okazjach Klehr miał na sobie buty z cholewami, biały kitel z wysoko podwiniętymi rękawami, czasami miał także na sobie gumowy fartuch.

[...]

Przewodniczący sądu: Czy może pan podać informacje na temat tego, ilu ludzi zostało zabitych zastrzykami fenolu?

Doktor Głowacki: Od około 18 do 20 tysięcy ludzi. Ilu z nich wyselekcjonował sam Klehr, nie wiem.

Przewodniczący sądu: Czy może podać najmniejszą liczbę?

Doktor Głowacki: Z całą pewnością mogę powiedzieć, że Klehr sam wybrał i uśmiercił ponad 10 000 ludzi.



Pełnomocnik oskarżenia posiłkowego Ormond: Czy Klehr wypełniał to zadanie z zapalem?

Doktor Głowacki: Tak. Był sadystą. Powiedział: „Teraz idę na wizytę”. Zabijanie było dla niego przyjemnością. Był moim bezpośrednim przełożonym, trudno mi dzisiaj zeznawać w obecności tego mordercy.

Obrońca Goollner : Jak Pan wpadł na te najmniejszą liczbę wynoszącą 10 000? O jaki okres w przypadku tej liczby chodzi?

Doktor Głowacki: Znajdowaliśmy się w umywalni. Klehr nie robił wtedy żadnej tajemnicy ze swojej działalności.

Obrońca Goollner: Jak wyglądały stosunki między lekarzem obozowym SS doktorem Entressem a Klehrem?

Doktor Głowacki: Klehr mógł zawsze działać na własną rękę, ponieważ lekarz obozowy o nic się nie troszczył.

Klehr: W obozie macierzystym było 28 bloków. W każdym bloku było około 600 więźniów. Daje to w sumie liczbę 16 000 ludzi. Jeżeli naszprycowałbym tam 10 000, to pozostałaby tylko kapela muzyczna.

Przewodniczący sądu: Oskarżony Klehr, proszę nie robić teraz głupich żartów, sytuacja jest zbyt poważna. Sądowi przedłożona została księga zgonów i wiadomo, że do obozu przewożono nieustannie nowych więźniów.

Klehr: Chciałem tylko podważyć zeznania świadka, jakobym naszprycował 10 000 więźniów.

Pełnomocnik oskarżenia posiłkowego:

W tej księdze zgonów wpisanych jest 130 000 zmarłych.

[Josef Klehr – ur. 1904, SS-Oberschcharführer, stolarz, pielęgniarz, członek SS od 1932 roku, członek załogi SS w KL Buchenwald i Dachau, od września 1941 roku sanitariusz SS – lekarz Garnizonu SS w KL Auschwitz oraz kierownik grupy „dezynfekcyjnej”, która wsypywała cyklon B do komór gazowych. W procesie zbrodniarzy niemieckich z obozu Auschwitz-Birkenau we Frankfurcie skazany na dożywocie. W 1988 r. zwolniony z odbywania kary, wkrótce zmarł. Doktor Czesław Głowacki, świadek tego zbrodni, ur. w 1918 r., uczeń, od 22 września 1940 r. więzień Auschwitz, m.in. jako blokowy, po wojnie ukończył studia medyczne w Polsce i pracował jako lekarz].

